

**USUWA OPIERZCHNIECIE, CZER-
WIENIENIE I SZORSTKOŚĆ SKO-
RY, TWARZY
I RĄK**



GLYCERIJELL

Gliceryna
zgęszczona
w tubach,
perfumowana
z dodatkiem olejków
eterycznych.
Doskonały środek
do pielęgnowania twarzy
i rąk,
szczególnie przy wszelkiego
rodzaju pękaniu skóry,
spowodowanym
wiatrem,
wilgocią
i t.d.

ANTI-BA
· SP. z O. O. · WARSZAWA ·

DO NABYCIA W SKŁADACH PRZEM.-HANDL. ZAKŁ. CHEM.
LUDWIK SPIESS i SYN Sp. Akc.
WARSZAWA, pl. Teatralny 18, M. rszałkowska 139 i 140, Miodowa 10,
oraz we wszystkich składach aptecznych, aptekach i perfumeriach.

Treść Numeru 70-go

	Str.
<i>Józef Moszyński:</i>	
Barbarzyńskie dziwolągi (5 ilustracji)	3—8
<i>I. Kołupajło:</i>	
Tempo Tempo (11 ilustracji)	9—20
<i>Samojł n:</i>	
Janina Smolińska w Hollywood (1 ilustracja)	21—24
Ilustracje	25—28
<i>B. Szarlitt:</i>	
Czapka niewidka (6 ilustracji J. Polińskiego)	29—46
<i>Z. K.:</i>	
Najrzadszy pierwiastek w świecie	47—48
<i>Prosper Szmurło:</i>	
Niezwykłe malarstwo (11 ilustracji)	49—60
Ilustracje	61—64
<i>Zdzisław Kleszczyński:</i>	
Początkująca autorka (4 ilustracje)	65—72
<i>B. S.:</i>	
Misterja pasyjne w Oberammergau (6 ilustracji)	73—80
Ilustracje	81—84
<i>Mieczysław Jarosławski:</i>	
Fakiryzm hinduski (11 ilustracji)	85—100
Ilustracje	101—104
<i>Jerzy Borycki:</i>	
Clive Brook (9 ilustracji)	105—116
Humor (ilustracja M. Walentynowicza)	117—118
<i>Z. K.</i>	
Dziwolągi wśród okrętów	119—120
<i>Wanda Tyszkowa:</i>	
W Quartier Latin (4 ilustracji)	121—128
<i>Halina Izdebska:</i>	
Opowiadanie gracza (4 ilustracje J. Kühna)	129—136
Ilustracje	137—140
<i>Bronisław Stefanowski:</i>	
Pół czarnej (8 ilustracji M. Walentynowicza)	141—152
<i>Aleksander Kochański:</i>	
Wyznaczanie długości geograficznej (1 ilustracja)	153—156
Mój wierny pies (konkurs)	157—158
Rozrywki umysłowe (9 ilustracji)	159—166

Okladkę kolorową wykonał J. Ciechomski

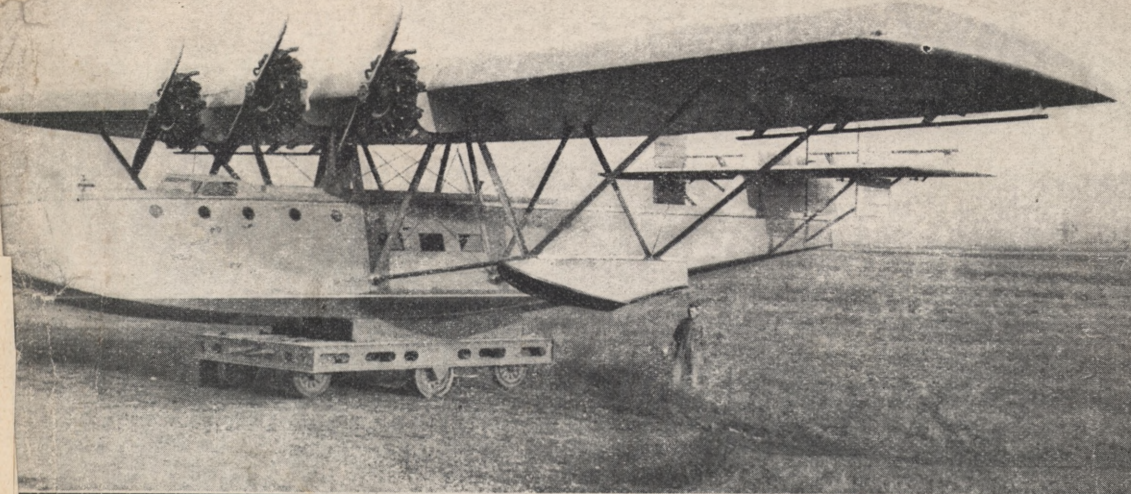
Adres Redakcji i Administracji
„N A O K O Ł O Ś W I A T A”
 Warszawa, Zgoda 12 tel. 122-14
 Telefon ekspedycji 104-32

Redaktor przyjmuje interesantów w **czwartki i soboty**
 od godz. 13 do 15

Administracja czynna codziennie od godz. 8 do 15

Prenumerata kwartalna w kraju, wraz z przesyłką, wynosi
 6 zł. 50 gr., zagranicą 10 zł. 50 gr.

Zeszyt pojedynczy 2 zł. 50 gr.



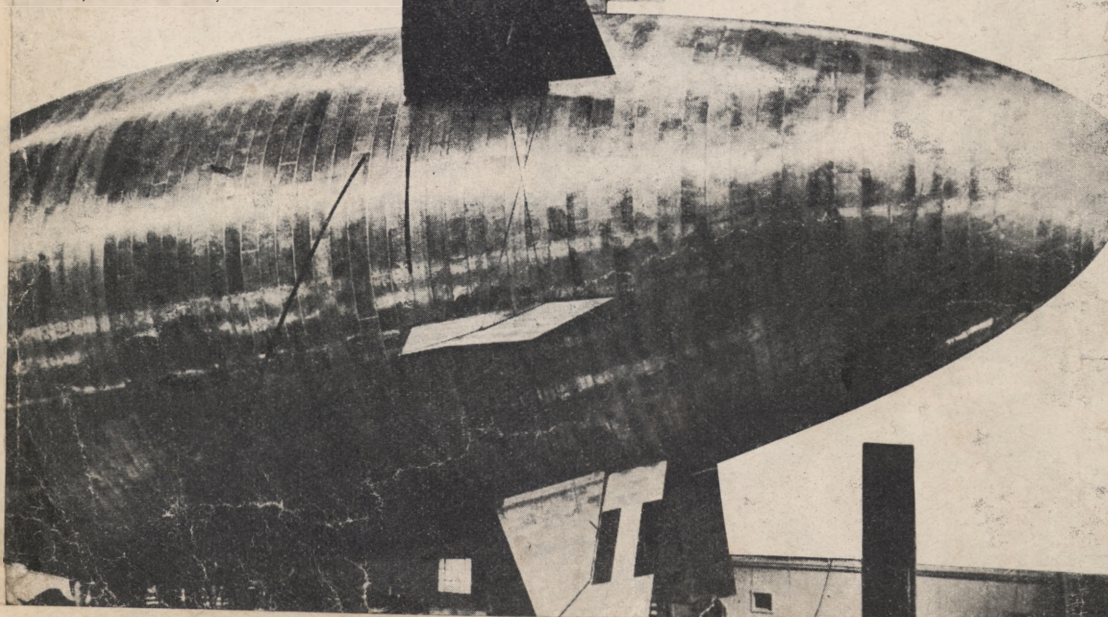
Zakłady konstrukcyjne Marcel Besson wybudowały największy we Francji wodnopłatowiec. łączna moc silników wynosi 1260 koni, szybkość — 190 km na godzinę, waga — 8 ton, zasięg — 1000 kilometrów

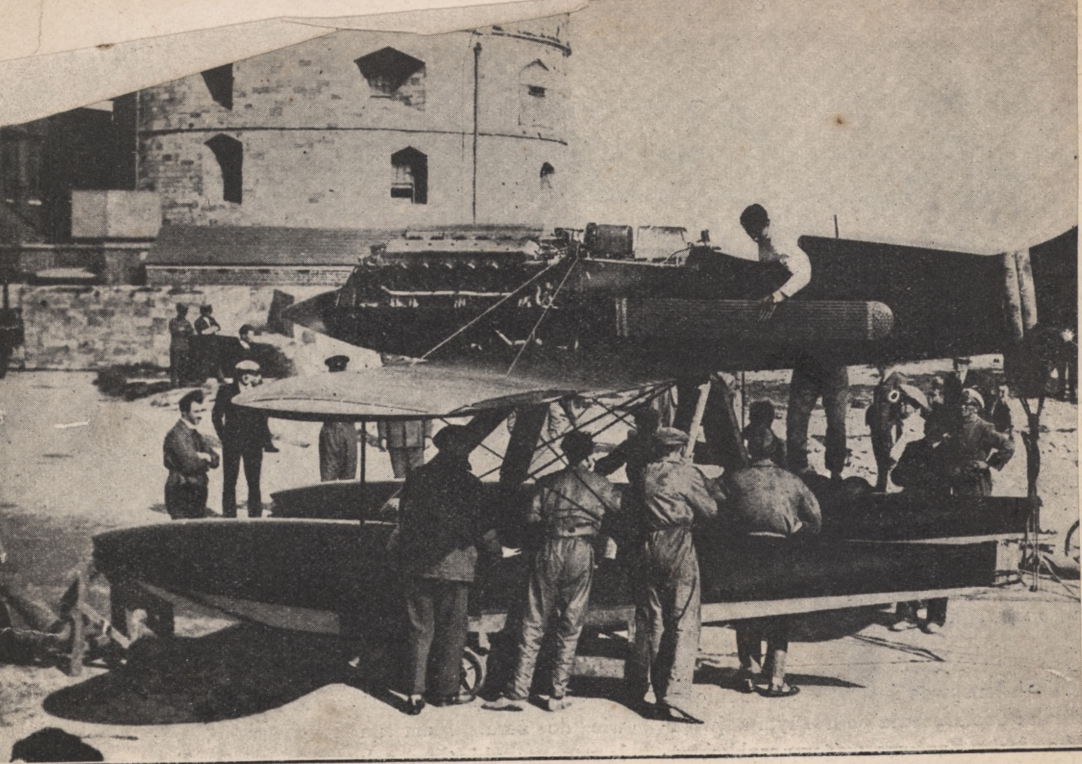
Równie intensywne jest współzawodnictwo kierunku dostarczenia podróży największego komfortu. Zarówno wagony szybkiej kolei, jak i kabiny pociągów są wyposażone w maszyny do pisania, a nawet kinematografy.

Najwyższy poziom lokomocji, jakiego obecnie dysponujemy, nie nadąża za tempem naszego życia, gdyśmy nie rozporządzali środkami unikacji, dla których niezależnie

od przestrzeni czas jest sprowadzony prawie do zera. Mam na myśli radio, połączone w ubiegłym roku z telewizją. Ten najbardziej bodajże genialny ze wszystkich wynalazków ludzkich zyskał sobie w naj-

W Detroit został zbudowany sterowiec o pokrywie metalowej, pojemności 200 000 stóp sześciennych





Do udziału w zawodach o puchar Schneidera włoskie zokłady Macehi zbudowały płatowci
osiągający fantastyczną szybkość ponad 500 kilometrów na godzinę

W zawodach lekkoatletycznych w Paryżu biorą udział setki słowackich i nieprzeczonych szermiowców





Co to
wszystko
znaczy?

sów przed jest

sunął się na czoło zagadnień, zaprzatających umysły naszego pokolenia. Człowiek bieżącego stulecia, pokonywający olbrzymie przestrzenie w krótkim czasie, usiłujący w krótkim okresie swego żywota zobaczyć i przeżyć wszystko, wydałby się swoim przodkom apokaliptycznym potworem lub, w najlepszym razie, warjatem.

W końcu ubiegłego stulecia w związku z licznymi wynalazkami i udoskonaleniami technicznymi powstała obfita literatura utopistyczna, lekceważona przez dorosłych ludzi i zachłannie czytana przez młodzież.

Dziś ci ongiś „poważni” ludzie są emerytami życia i biernie przyglądają się postępowi, zaś owa młodzież wykształcona na prorockich utopjach buduje i użytkuje podwodne krążowniki i potężne płatowce. Lotny umysł ludzki tak szybko przekroczył granice fantazji niedawnych utopistów, że obecnie jesteśmy świadkami zjawiska niezmiernie charakterystycznego: literatura utopistyczna znajduje się w stanie zupełnego zaniku. Literatura nie jest w stanie nadążyć za techni-

— U nas, proszę pana — mówił fryzjer — ludzie już przyzwyczajeni do tego. Zamiast dążyć do utopisty.

W związku z postępem techniki nastąpiło tak znaczne przewartościowanie pewnych pojęć, że wiele dotychczasowych badań naukowych wymaga gruntownej rewizji. Jeszcze przed dwudziestu kilku laty uczeni na podstawie szczegółowych dociekań doszli do przekonania, że najwyższa szybkość ruchu, jaką może bez szkody dla siebie wytrzymać organizm ludzki, nie przekracza 100 kilometrów na godzinę. Jakże zabawne wydaje się nam to twierdzenie, skoro major Seagrave na swej „Złotej Strzale” pędzi z chyżością 384 klm. na godz., zaś w zawodach o puchar Schneidera samoloty już z reguły przekraczają 500 klm. na godzinę!

Nie jest to zresztą granica ostateczna. Płatowce raketowe niewątpliwie potrafią osiągnąć większą chyżość, skoro problemat ten wyjdzie poza granice luźnych prób.

Na globie ziemskim ludzkość osiągnie wkrótce wszelkie możliwości komunikacyjne. Samoloty obecnie już regularnie rozwożą pocztę z Londynu do Kalkuty, z Paryża do Saigonu i z Amsterdamu do Batawji.

Od wiosny począwszy, ранne pisma berliń-

człowiek zapomina języka w gębie..

*

U nas w tym samym czasie poczęto zastanawiać się nad ulepszeniem i rozszerzeniem użyteczności różnych przedmiotów. Z szabli i rewol-

Proszę!

*A ten kwiatek
jak się podoba?*



*Przepraszam,
ale
„Polwytsan”,
to już jest sta-
nowczo
bolszewicka
naleciałość*



popularność, robiąc z wynalazcy krezusa i multimiljardera, nie dał się jednak tanio i racjonalnie rozwiązać. Zapal zatem do tych śmiałych połączeń-skrótów osłabił dość znacznie. Dziś, z przyczyn bliżej nieznanych, id-
rótów przedostała się





TEMPO TEMPO

Zawody motocyklowe na plaży Stinson w Kalifornii

Fot. Wide World

Odwieczny instynkt postępu, przyspieszenia tętna naszego życia, datujący się z czasów prahistorycznych, w wieku naszym wysunął się na czoło zagadnień, zaprzatających umysły naszego pokolenia. Człowiek bieżącego stulecia, pokonywający olbrzymie przestrzenie w krótkim czasie, usiłujący w krótkim okresie swego żywota zobaczyć i przeżyć wszystko, wydałby się swoim przodkom apokaliptycznym potworem lub, w najlepszym razie, warjatem.

W końcu ubiegłego stulecia w związku z licznymi wynalazkami i udoskonaleniami technicznymi powstała obfita literatura utopistyczna, lekceważona przez dorosłych ludzi i zachłannie czytana przez młodzież.

Dziś ci ongiś „poważni” ludzie są emerytami życia i biernie przyglądają się postępowi, zaś owa młodzież wykształcona na proroczych utopjach buduje i użytkuje podwodne krążowniki i potężne pławowce. Lotny umysł ludzki tak szybko przekroczył granice fantazji niedawnych utopistów, że obecnie jesteśmy świadkami zjawiska niezmiernie charakterystycznego: literatura utopistyczna znajduje się w stanie zupełnego zaniku. Literatura nie jest w stanie nadążyć za techni-

ką, a kronika pism codziennych posiada więcej romantyzmu, niż fantazja utopisty.

W związku z postępową techniką nastąpiło tak znaczne przewartościowanie pewnych pojęć, że wiele dotychczasowych badań naukowych wymaga gruntownej rewizji. Jeszcze przed dwudziestu kilku laty uczeni na podstawie szczegółowych dociekań doszli do przekonania, że najwyższą szybkość ruchu, jaką może bez szkody dla siebie wytrzymać organizm ludzki, nie przekracza 100 kilometrów na godzinę. Jakże zabawne wydaje się nam to twierdzenie, skoro major Seagrave na swej „Złotej Strzale” pędził z chyżością 384 klm. na godz., zaś w zawodach o puchar Schneidera samoloty już z reguły przekraczają 500 klm. na godzinę!

Nie jest to zresztą granica ostateczna. Pławowce raketowe niewątpliwie potrafią osiągnąć większą chyżość, skoro problem ten wyjdzie poza granice luźnych prób.

Na globie ziemskim ludzkość osiągnie wkrótce wszelkie możliwości komunikacyjne. Samoloty obecnie już regularnie rozwożą pocztę z Londynu do Kalkuty, z Paryża do Saigona i z Amsterdamu do Batawii.

Od wiosny począwszy, ranne pisma berliń-



Pomiędzy Westminster i Chiswick na Tamizie zaczęły kursować szybkie łodzie - taksówki

...dawane wieczorem w kioskach gazetowych ...icach Stambułu, Warszawa zaś uzyska codzienne połączenie bezpośrednie z Londynem i Konstantynopolem.

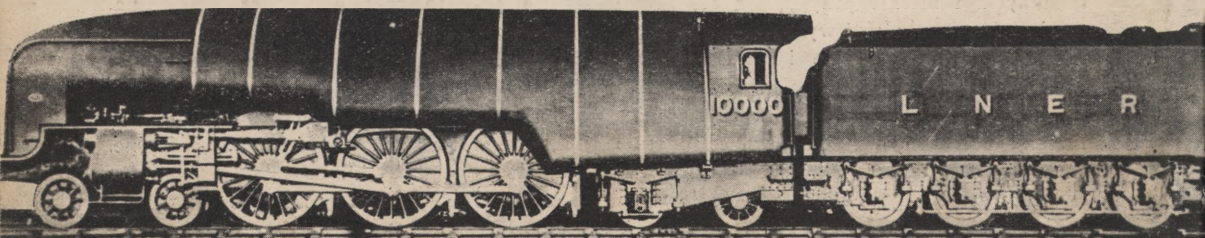
Jedynie północny Atlantyk broni się dotychczas przed zaborczością ludzką. Po kilku świetnych sukcesach lotników amerykańskich z Lindberghiem na czele, szereg prób przelotu na zachód zakończył się nieudatnie albo i wręcz tragicznie. Te katastrofy chwilowo wstrzymały zwycięski pochód cywilizacji na tem polu. Amerykanie jednak już rozwiązali ten problemat z właściwym sobie rozmachem. Na falach Atlantyku stanie wkrótce pływająca baza lotnicza, na której płatowce szy-

bujące nad Atlantykiem będą uzupełniały zapasy swego paliwa.

Na mniejszych odległościach lądowych skutecznie współzawodniczy z lotnictwem komunikacja samochodowa. Anglicy, największy nacisk kładący na komfort w podróży, uruchomili nawet autobusy sypialne na przestrzeni Londyn—Liverpool.

Wobec tak groźnej konkurencji lotnictwa i automobilizmu stara, pocziwa kolej żelazna zabrała się intensywnie do udoskonalenia, by sprostać wymaganiom współczesnych pasażerów, na wagę złota ceniących swój czas. W przeciągu ostatnich kilkunastu lat pociągi niemal podwoiły szybkość biegu.

Angielska lokomotywa „Chut-chut”, przeznaczona do wielkich ekspresów



krótszym czasie niesłychanie szerokie zastosowanie. Aparaty telewizyjne, wynalezione zaledwie przed kilkunastu miesiącami, są obecnie stosowane w redakcjach wielkich pism, i w kilka godzin po jakimś wydarzeniu na przeciwle-

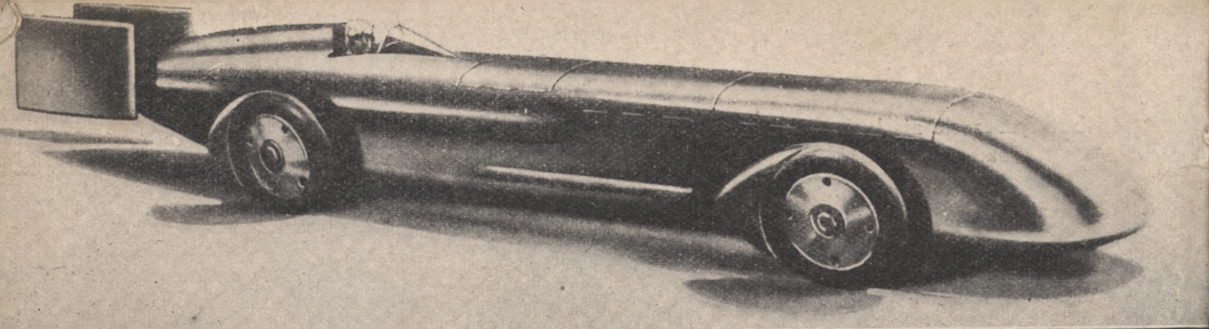
Łódź rakietowa stała się nową pasją sportowców amerykańskich



Uwiązany za samochodem wyścigowym na desce Doug Harper pędzi z szybkością 100 km na godzinę po plaży Muroc (Kalifornia)

głym krańcu globu ziemskiego możemy na łamach dziennika znaleźć wyraźną fotografię, ilustrującą to wydarzenie.

Amerykane obecnie za połowę ceny wyprzedają swój doskonały sprzęt radiotechniczny. Tajemnica tego spadku cen leży w tem, że fabryki amery-



Nowy „bolid”, na którym kierowca angielski Kaye Don zamierza pobić światowy rekord Seagrava

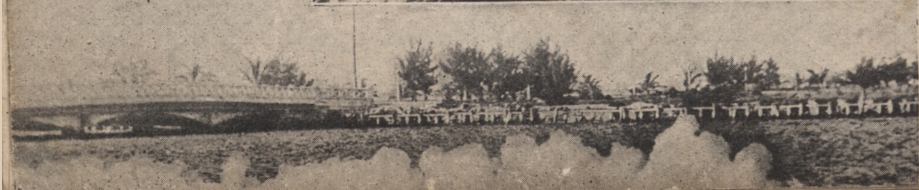
kańskie przystąpiły do masowej produkcji odbiorników telewizyjnych. Upłynie rok, dwa, a nie wychodząc z domu będziemy mogli obserwować wydarzenia na całej kuli ziemskiej.

Po długim szeregu stuleci, zaznaczonych mozolnym postępem cywilizacji, ludzkość w swym postępie pędzi obecnie naprzód z zawrotną szybkością. Czy nerwy ludzkie wytrzymają to przyspieszenie tempa, — na to potrafi nam odpowiedzieć tylko przyszłość.

I. Kottupajło

Malcolm Pope w Miami na łodzi raketowej osiągnął szybkość 60 klm na godzinę

W kabine pilotów komunikacyjnego zostały umieszczone maszyny do użytku dziennikarzy amerykańskich



CZAPKA NIEWIDKA



(Z cyklu niesamowitych baśni)

Napisał:

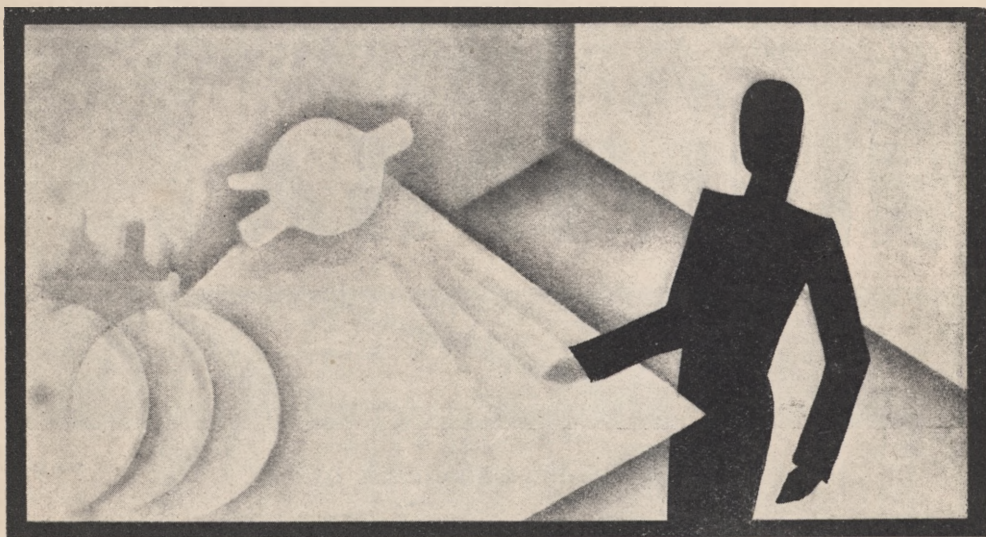
B. Szarlitt

Ilustrował: J. Poliński

Słynny fizyk angielski, sir Hilton Quandt, miał w swem laboratorium młodego człowieka, który pełnił funkcję pomocnika. Był to Szkot, nazwiskiem Ryszard Dyll, od dzieciństwa odznaczający się nadzwyczajnymi zdolnościami technicznymi. Syn wdowy po górniku, który zginął w czasie katastrofy kopalnianej, nie miał możliwości kształcenia się, lecz już jako ośmioletni chłopiec musiał zarabiać na życie, pracując w elektrowni swego miasteczka rodzinnego. Przyjęto go tam dzięki wstawiennictwu montera, który naprawiając raz u jednego na ulicy przewód elektryczny, zdumiony był, gdy przypatrujący się pracy jego mały Dyll w lot pojął, o co chodziło. W elektrowni polubiono chłopca dla jego nadzwyczajnej zwinności w pracy i bystrego umysłu, z jakim rozwiązywał trudne zadania, nad którymi nieraz mozolili się daremnie najdoświadczeni pracownicy zakładu. Jedną taką robotą Dyll zwrócił na siebie uwagę samego dyrektora elektrowni, który wezwawszy go do siebie, zapytał, czy chciałby kształcić się w Londynie na elektrotechnika. Uszczęśliwiony chłopiec ze łzami w oczach całował dyrektora po rękach i przyrzekał, iż będzie się pilnie uczył, gdyż od dawna już marzy o poświęceniu się elektrotechnice.

Tak to, dostawszy się do Londynu, Dyll zwrócił na siebie uwagę słynnego fizyka, sir Hiltona Quandta, gdy skonstruował mały aparat, umożliwiający nadzwyczajne skoncentrowanie silnego światła. Zaproponował mu uczony, by wstąpił do jego laboratorium jako pomocnik. Profesor Quandt od szeregu lat pracował nad pozafioletkowymi promieniami i wtajemniczał niezwykle pojętnego młodzieńca w te swoje badania. Pomagał mu Dyll pełen zapału i uczony podziwiał genialne nieraz pomysły jego. Niezależnie zaś od prac, które wykonywał według wskazówek fizyka, Dyll, mając do dyspozycji wymarzone niemal od lat dziecięcych laboratorium, spędzał w niem całe noce nad własnymi eksperymentami.

Pewnej nocy zląkł się wprost, stwierdziwszy, iż udało mu się odkryć promienie o iście czarodziejskich własnościach. Pochłaniały one mianowicie wszelkie inne światło w taki sposób, że w ich obrębie przedmioty

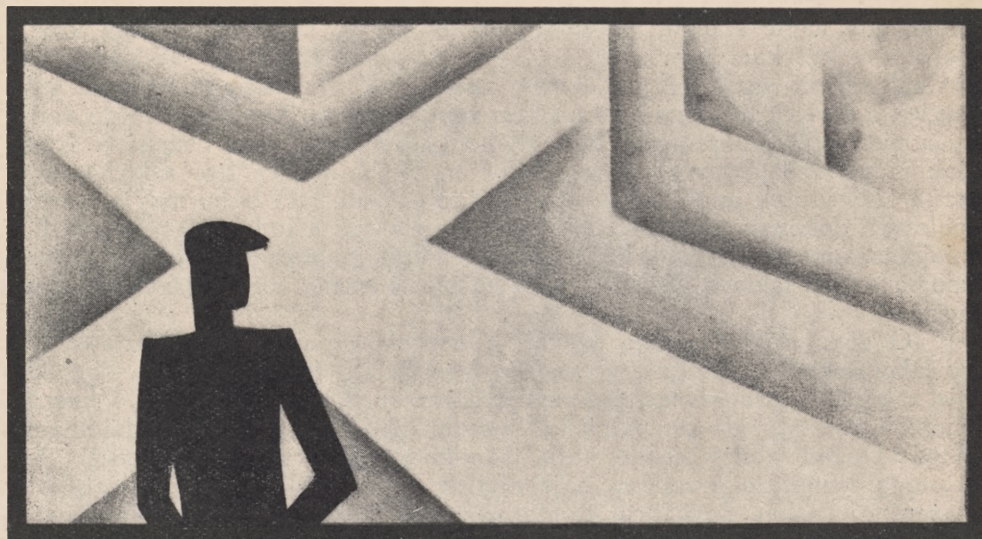


...własna jego ręka, spoczywająca na stole, w chwili gdy padły na nią promienie, poprostu ulotniła się...

znikały, jak gdyby je coś wymazało. Same zaś promienie te byłyby dla oka ludzkiego niedostrzegalne. Ich istnienie ujawniało się jedynie w tem fenomenalnym znikaniu wszystkiego, na co padały. Najwięcej zastanawiało Dylla, że i własna jego ręka, spoczywająca na stole, w chwili gdy padły na nią te tajemnicze promienie, poprostu ulatniała się. Stwierdzenie tego faktu wywoływało u niego zawsze uczucie grozy. Uświadamiał sobie bowiem dobrze, iż włada ręką zupełnie normalnie, tylko oko jego nie widziało jej wcale, tak jak gdyby się gdzieś zapadła.

Spędziwszy długi jeszcze szereg nocy na badaniach nad temi niesamowitymi promieniami, Dyll nareszcie dopiął celu swych wysiłków. Była to najcudniejsza chwila w jego młodem życiu, gdy ustawivszy aparat na szafie, z bijącym sercem stwierdził w wiszącym naprzeciwko lustrze, iż po wypuszczeniu promieni na swoją własną postać — nie widzi siebie zupełnie. Wszystkie inne przedmioty w sali laboratoryjnej odbijały się w zwierciadle, tylko on sam znikł, jakby go wogóle nie było! „Czapka z bajki”, szeptał drżącymi ustami, „stała się więc rzeczywistością!” I cieszył się niewymownie na myśl, że nazajutrz będzie mistrzowi swemu mógł przedstawić to istne cudo.

Gdy profesor Hilton Quandt z bezgranicznem zdumieniem poznał co udało się jego młodemu pomocnikowi, obudziła się w nim szalona do niego nienawiść. Miałżeż on, ta sława światowa, być zaćmiony przez młodzieńszka, o którym nikt wogóle nie wiedział? I już w następnej chwili Quandt postanowił nie dopuścić za żadną cenę, by dokonane w jego laboratorium przełomowe odkrycie miało być złączone z nazwiskiem jakiegoś tam Ryszarda Dylla. Nie dał jednak poznać po sobie, co się w jego wnętrzu działo, lecz wyraziwszy Dyllowi z fałszywą serdecznością najwyższe uznanie, poszedł do swego gabinetu i zamknął się w nim na cały dzień. Z gorączkowym pośpiechem pracował nad rozprawą o odkryciu Dylla, którą postanowił natychmiast przesłać Akademji z prośbą o wyznaczenie zebrania, na którym przedstawi tę „swoją” najnowszą zdobycz.



Powlókł się do laboratorium

W kilka dni później, Dyll, spożywając rano śniadanie w małej gar-kuchni, znajdującej się w pobliżu laboratorium profesora Quandta, gdzie miał swój pokój mieszkalny, przeglądał jak zwykle dzienniki poranne. Nagle zbladł i gazeta, którą czytał, wypadła mu z ręki. Bo oto ujrzał wydrukowany olbrzymimi literami nagłówek: „Cudowne odkrycie znakomitego fizyka Hiltona Quandta! Urzeczywistnienie czapki — niewidki z prastarej bajki!” Dyll własnym nie wierzył oczom i czuł, że serce w nim zamiera z niewystłowionego bólu. Miałbyż więc ten sławny uczony zdobyć się na tak potworny szantaż? Zabrać jemu plon jego mozolnych badań i wmówić w świat, że to on sam, Quandt, odkrył te tajemnicze promienie? To chyba jakaś mistyfikacja! Zebrawszy całą swoją energję, Dyll postanowił przeczytać spokojnie artykuł. Im dłużej jednak czytał, tem bardziej ścinała mu się krew w żyłach. Nie ulegało bowiem najmniejszej wątpliwości, że Quandt popełnił haniebną zbrodnię, podszył się w bezczelny sposób pod jego, Dylla, odkrycie!

Co począć? — szeptał Dyll, załamując ręce w niemej rozpacz. Daremnie jednak łamał sobie głowę, odczuwał bowiem tylko coraz boleśniej swoją niemoc. Nikt na świecie nie uwierzy mu przecież, jeśli wystąpi z twierdzeniem, że to nie sławny fizyk, lecz on, nieznanym jego pomocnik, dokonał tego wiekopomnego odkrycia. Daremne były więc wszelkie zabiegi, wyśmianoby go tylko, albo co gorsza — uważanoby za pozbawionego zmysłów i zamkniętoby wkońcu w domu obłąkanych.

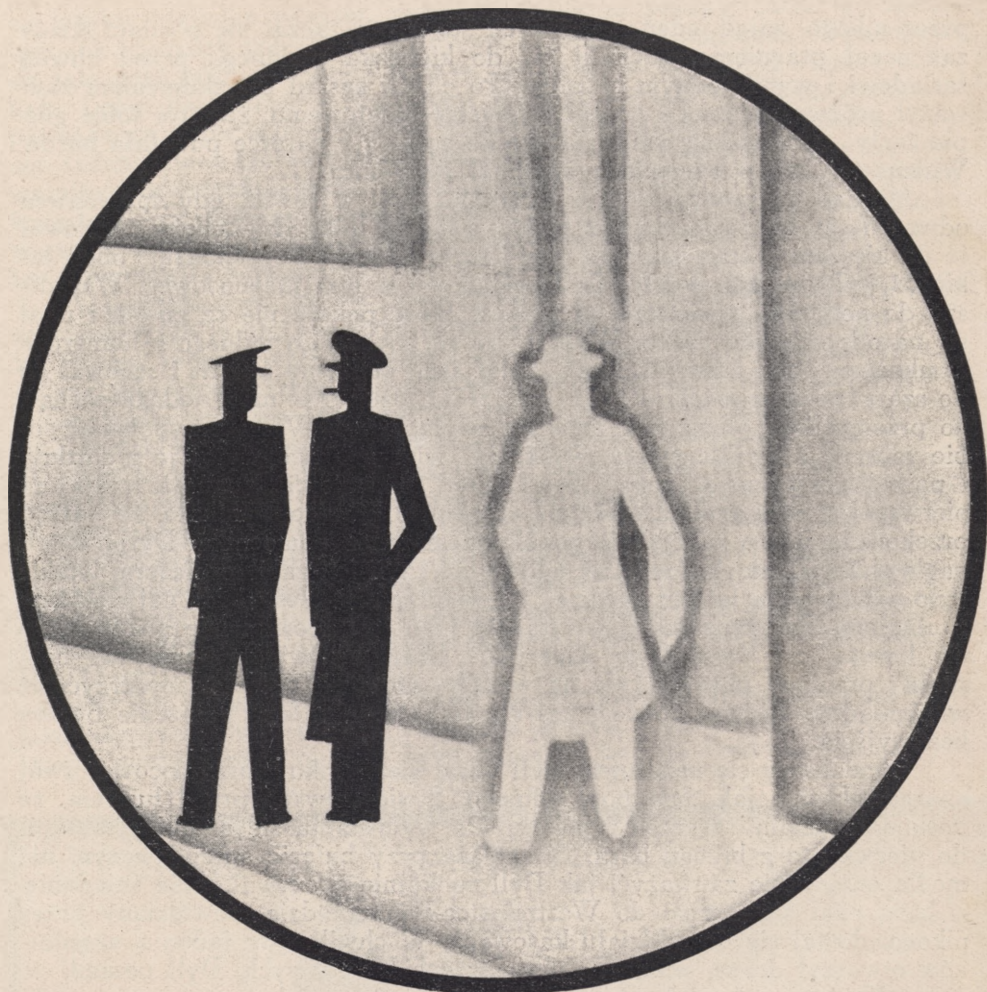
Z najwyższym wysiłkiem powlókł się do laboratorium. Profesora jeszcze nie było, gdyż zazwyczaj przychodził dopiero o jedenastej. Wszedłszy do głównej sali, w której znajdował się jego aparat, Dyll ledwie mógł utrzymać się na nogach. Na to więc przesiadywał tu tyle nocy, na to jego pełne tak cudownych podniet badania! Żal i gorycz niewysłowiona szarpały nim tak straszliwie, że postanowił odebrać sobie życie. Skończy się jednym zamachem wszystko, a wtedy i ten żal i ta gorycz zabójcza. Trucizn w laboratorium nie brakło, mógł więc wybrać sobie najszybciej działającą i położyć kres swej męce. Już zbliżył się do szafki z chemikal-

jami, gdy nagle stanęła mu w wyobraźni postać Quandta. „Podła kreaturo!” — krzyknął tak silnie, że zląkł się własnego głosu. W następnej jednak chwili opanował go dziwny spokój. W głowie jego bowiem wystrzeliła myśl zbawienna: nie on sam zginie, lecz — Quandt! Innego wyjścia niema! Skoro profesor był tak podły, że śmiał jego usunąć z drogi jak niepotrzebny sprzęt, dlaczegóżby on, Dyll, miałby być szlachetniejszy? I w duszy młodzieńca, która do tej chwili była pełna najwyższych polotów, dokonała się straszliwa zmiana. Nie warta ludzkość cała, by dla niej mozolić się nad odkryciami, które miały ją pchnąć naprzód, skoro mogła wydać takiego Quandta! Lecz najpierw trzeba porachować się z tym lotrem!

O godzinie jedenastej, Quandt, uosobienie punktualności, zjawi się w laboratorium. Sprzątnie go więc z tego świata tak, iż nikt nie domysli się zabójstwa. Haha! zaśmiał się Dyll gorzko, po raz pierwszy odkrycie moje będzie służyło do pełnienia zbrodni! „Uczynię się niewidzialnym, a gdy Quandt zbliży się do stołu, i dotknie nogą drutu elektrycznego, do którego wpuszczę przedtem najsilniejszy prąd, padnie natychmiast, jak rażony piorunem. Powiedzą, że stało się nieszczęście, ja zaś zabiorę swój aparat i pójdę w świat. Przygotowawszy wszystko z wielkim pośpiechem, Dyll stanął przy szafie, na której umieszczony był jego aparat, wypuścił tajemnicze promienie tak, że padały na jego postać, a przekonawszy się w lustrze, iż jest zupełnie niewidzialny, począł z bijącym sercem oczekiwać przybycia Quandta. Kiedy ten nareszcie się zjawił i zbliżył do stołu, upadł natychmiast bez jęku na ziemię. Stwierdziwszy, że Quandt już nie żyje, Dyll zdjął swój aparat z szafy i udał się do swego pokoiku.

Tu umieścił aparat na stojącej przy jego łóżku wysokiej skrzyni, w której przechowywał różne instrumenty i wypuściwszy promienie tak, iż padały na łóżko, rzucił się na nie, by wyczekać, co się dalej będzie działo. Po pewnym czasie usłyszał przytłumiony krzyk starego woźnego Warringsa, który jak zwykle przyniósł dla profesora śniadanie. W jaki kwadrans później doleciały go liczne głosy i kroki. „To komisja kryminalna!” — wyszeptał. Nagle padło w sali — jego nazwisko. Był to Warrings, który je wymienił. Potem zbliżyły się kroki ku jego pokojowi. Dyll zrozumiał, iż komisja wkrótce u niego się zjawi. Przekonawszy się szybko, że aparat z tajemniczymi promieniami doskonale funkcjonuje, wyczekiwał z zapiętym oddechem wejścia komisji. Zjawiło się sześciu panów, prowadzonych przez Warringsa, który im tłumaczył, że tu mieszkał Dyll. „Tu go oczywiście niema” rzekł spokojnie jakiś starszy pan, potem zwrócił się do Warringsa z zapytaniem, czy wie napewno, że Dyll dziś przed południem był w laboratorium. Warrings odrzekł w tonie stanowczym, iż nie może to żadnej ulegać wątpliwości, ponieważ nikt inny nie miał do laboratorium dostępu. Rozejrzawszy się raz jeszcze po pokoiku, komisja wyszła.

W jakiś czas potem Dyll usłyszał stąpanie ciężkich kroków i domyslił się, że wynoszą zwłoki Quandta. Wyobrażał sobie dokładnie tę scenę, ale nie czuł najmniejszego wyrzutu sumienia na myśl, że ten trup, to jego dzieło. Po chwili zapanowała zupełna cisza. Dyll leżał jeszcze długi czas, zastanawiając się, co ma uczynić. Najważniejszą rzeczą było poczekać do nocy, ażeby móc wydostać się z laboratorium. Nie ulegało wątpliwości, że cały gmach otoczony był policją. Należało więc szybko zabrać się do pracy, by aparat przemienić na prawdziwą „czapkę-niewidkę”. Nie różnił on się wiele od małego kodaku. Chodziło więc o zaopatrzenie go w rurki, które, przylegając do czapki, umożliwiłyby padanie promieni na całą postać. Umieszczone pod surdudem na plecach tuż pod karkiem



Przed bramą gmachu stali policjanci

musiałby należycie funkcjonować. Po kilkugodzinnej wytężonej pracy Dyll doszedł do przekonania, iż zamierzone uzupełnienie aparatu udało się. Przymocowawszy go więc mocno na swych plecach, udał się do sali, by przed lustrem przekonać się, czy się nie omylił. Nie mógł oczywiście zrobić światła, ale padało ono z ulicznej lampy elektrycznej tak, iż można było w lustrze wszystko widzieć. Stanąwszy przed niem, Dyll z niewysłowioną radością stwierdził, iż aparat doskonale działał...

Laboratorium znajdowało się na parterze. Komisja kryminalna nie zauważyła, iż okno w pokoiku Dylla było otwarte. Tem oknem więc zsunął się cicho na ziemię. Przed bramą gmachu stało kilku policmenów z cygarami w ustach. Dyll minął ich na palcach i znalazł się wkrótce w pobliżu jakiegoś baraku. W tej chwili uczuł wielki głód i przypomniał sobie, iż przez cały dzień oprócz pierwszego śniadania nic nie miał w ustach. Postanowił przeto wejść do baru. Przy bufecie siedziało na wysokich stołkach kilku panów, zającując przekąski i popijając whisky. Dyll, niewidziany

przez nikogo, zajął jeden z próżnych stołków i zaczął się posilać. Kiedy zaś uczuł pragnienie, nachylił się do kieliszka podanego przed chwilą sąsiadowi i wypił jednym haustem. Po chwili sąsiad ze zdumieniem zauważył próżny kieliszek i począł wymyślać bufetowemu, że stroi sobie głupie żarty. Inni goście wmieszali się do sprawy i wkrótce powstała burda. Widząc to, Dyll z uśmiechem wymknął się z baru.

Mijając po drodze kiosk z gazetami, Dyll w chwili, gdy sprzedawca odwrócił się, by wydać komuś resztę, ściągnął kilka dzienników i schował je do kieszeni. Teraz należało pomyśleć o noclegu. Przechodząc obok jakiegoś wykwintnego hotelu, Dyll postanowił w nim przenocować. Wszedłszy do portjerni, stwierdził na tablicy, które pokoje nie są zajęte i udał się na odpowiednie piętro. Wsunąwszy się szybko do jednego z numerów, zamknął za sobą drzwi na klucz, zdjął swój cudowny aparat i schował go do szafy, poczem rozebrał się i położył do łóżka. Nie mógł jednak zasnąć, bo przemyślał wciąż nad dalszym swym losem. Wtem przypomniał sobie zabrane z kiosku gazety, wyskoczył więc z łóżka, wyjął je z surduta i począł gorączkowo szukać wiadomości o śmierci Quandta. Już na pierwszej stronie znalazł olbrzymi artykuł, z którego wynikało, że policja przekonana jest o zabójstwie popełnionem przez pomocnika, Dylla, który nagle znikł. Z jakich powodów młody ten człowiek zabił profesora, trudno było odgadnąć, a to tem bardziej, że wiadomo, iż cieszył się największym zaufaniem. Dyll zrozumiał, iż sytuacja jego jest groźna. Nie pozostawało nic innego, jak wyjazd do Ameryki. „Czapka-niewidka” umożliwi bezpłatny przejazd okrętem, ale na wszelki wypadek należy zaopatrzyć się w pieniądze. Gdyby bowiem coś się stało z aparatem, położenie byłoby bez wyjścia.

Obudziwszy się nazajutrz, Dyll ubrał się szybko i przymocował swój aparat tak samo jak dnia poprzedniego. Stwierdziwszy przed lustrem, że doskonale działa, wyszedł z pokoju. Po wydostaniu się na ulicę, wstąpił do pierwszego z brzegu baru. Drzemiąca przy bufecie sprzedawczyni nie mogła oczywiście zauważyć, jak Dyll spokojnie spożywał sobie śniadanie. Z baru udał się wprost do Westminster-Banku, gdzie niewidziany przez nikogo, dostał się do oddziału kasowego. W chwili, gdy jeden z urzędników otworzył drzwi, wiodące do wnętrza biur kasowych, Dyll poszedł za nim. Kasjer wydzielał właśnie poszczególnym funkcjonariuszom duże sumy w banknotach. Dyll, zbliżywszy się do kasy, ściągnął szybko wielki pakiet banknotów i schował do kieszeni. Po chwili kasjer zauważył ze zdumieniem brak pieniędzy, ułożonych w ścisłym porządku. Powstał wielki zamęt, a jeden z urzędników na żądanie kasjera wybiegł, by zawiadomić urzędującego w gmachu komisarza policji. Dyll podążył za nim i wydostał się szybko na ulicę.

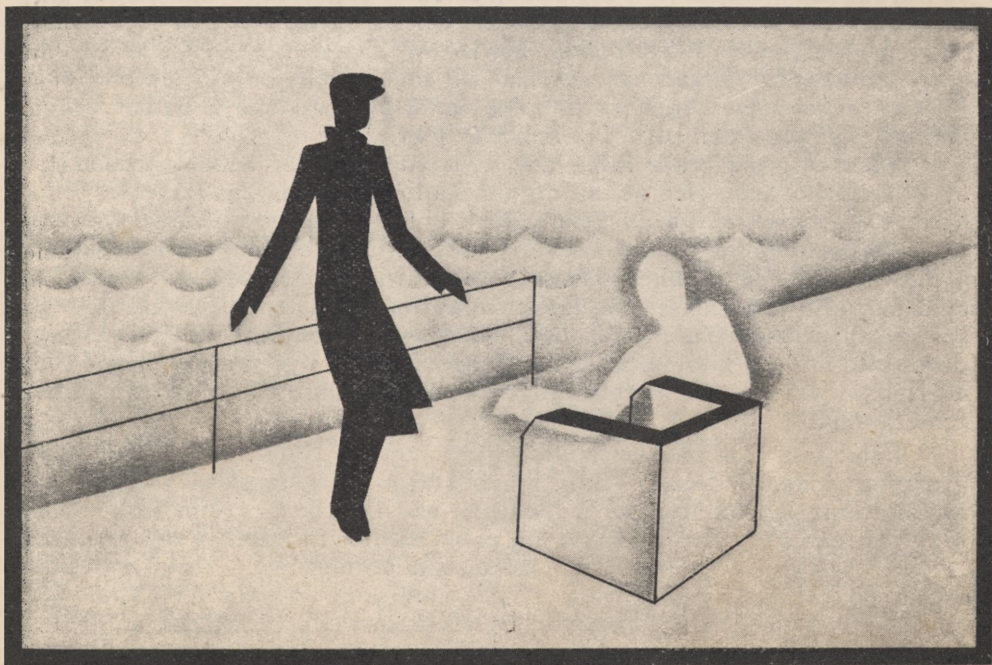
Krocząc spokojnie ku portowi, by wsiąść na jeden z okrętów, jadących do Ameryki, Dyll zastanawiał się nad tem, co uczyni ze sobą na tamtej półkuli. Nie wątpił, iż znajdzie tam sprawiedliwość, gdy wyjawí całą prawdę. Lecz w jaki sposób uda mu się to wyjawienie? Po głębszym namyśle doszedł do przekonania, iż najlepiej będzie pojechać do Waszyngtonu, stanąć niewidzialny na mównicy Kongresu i przedstawić posłom i senatorom swoją sprawę.

Podróż odbył w jednej z wolnych kajut okrętu „Mauritania”. Gdy chciał posilić się, wchodził do kuchni okrętowej i zjadał, co mu się podobało. Niejednokrotnie dochodziło później między kucharzami do ostrej kłótni, gdyż jeden drugiego posądzał o jakiś niesmaczny figiel. Na pokładzie zaś wydarzały się Dyllowi często zabawne sceny. Kiedy rozłożył się

na leżaku, niejeden pasażer, uważając leżak za próżny, chciał go zająć, lecz jak sparzony cofnął się, uczuwszy nagle kogoś pod sobą. Wpatrywał się taki gość później zdumiony w to niesamowite krzesło, a wkońcu uciekał... Leżąc na pokładzie, Dyll raz jednego usłyszał ożywioną rozmowę, prowadzoną przez kilku rodaków o tajemniczym zabójstwie Quandta. Gdy zaś jeden z nich wyraził przekonanie, iż policji londyńskiej uda się niewątpliwie wytropić zabójcę, Dyll, zapomniawszy się, wybuchnął głośnym śmiechem. Z niewystowionem zdumieniem całe towarzystwo spojrzało w stronę próżnego leżaka, z którego najwyraźniej dolatywał przed chwilą ten niesamowity śmiech.

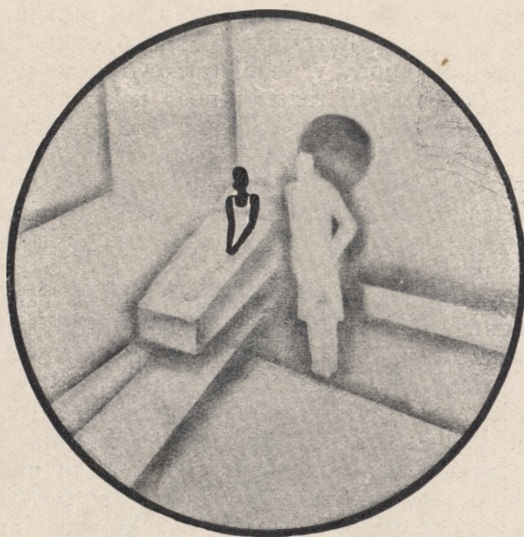
Najważniejszym jednak wydarzeniem Dylla w czasie podróży było spotkanie raz jednego na pokładzie niezwykle urody młodej Amerykanki, która z ojcem swym wracała z dłuższego pobytu w Paryżu. Kiedy ją po raz pierwszy ujrzał, Dyll wprost oniemiał z podziwu. Wpatrując się w nią, jakby w wizję czarodziejską, uprzytomnił sobie dopiero, iż dotychczas w życiu jego kobieta wogóle jeszcze nie odegrała roli. Mimo swych dwudziestopięciu lat nie miał poprostu nigdy czasu na — miłość. Całą istotę jego wypełniał jeden jedyny cel: nauka. Jej poświęcał każdą chwilę, ona zastąpiła mu wszystkie rozkosze, bez których inni ludzie żyć nie mogą. Nie zastanawiał się nawet nad tem, że wie dzie żywot samotnika, jaki zazwyczaj staje się udziałem ludzi sędziwego wieku. Wystarczyło mu w zupełności błogie uczucie, iż ma możność wgłębiania się w niezbadane tajemnice przyrody. Nie wiedział wcale, iż jedną z jej największych tajemnic jest — kobieta.

Dopiero tu na okręcie, gdy po raz pierwszy w swem młodym życiu miał naprawdę „wolny czas“, na widok uroczej Amerykanki zrozumiał, że oprócz nauki istnieje na tym świecie jeszcze coś, co zupełnie taksamo jak



...Wpatrywał się taki gość później zdumiony w to niesamowite krzesło...

*Wsunąwszy się
cichaczem do
kajuty,*



*ujrzał Nelly
leżącą w
łóżku...*

ona może wypełnić całą istotę człowieka. To też od chwili gdy ujrzał cudowną dziewczynę, nie myślał już o niczym innym, tylko o niej. Że wzrastającym zdumieniem stwierdzał dzień po dniu, iż stawał się coraz bardziej zależny od istoty, która do niedawna wcale dla niego nie istniała.

Ileokroć spotykał ją na okręcie, musiał jakby przez jakąś tajemną moc opętany stanąć, by napawać się jej widokiem. Z czasem zaś chodził już za nią jak cień, wsłuchiwał się z niewymowną rozkoszą w dźwięk jej głosu, wpatrywał w każdy jej ruch, zachwycał się jej uśmiechem. Z rozmów, jakie prowadziła ze swym ojcem, dowiedział się, kim jest i gdzie dotychczas przebywała. Odkąd zaś usłyszał jej imię „Nelly” stało się ono dlań jakimś zaklęciem. Kładł się z niem na ustach do snu i budził zrana, szeptał je przez dzień cały, jak pobożni litanję.

Tak działo się przez kilka dni. Niejednokrotnie szukał sposobności, by ją spotkać samą, lecz mu się to nie udało, ponieważ zawsze była w towarzystwie ojca. Pewnego dnia jednak ujrzał go samotnie spacerującego po pokładzie i domyślił się, że Nelly musi być chora. Wraz z niepokojem o nią obudziło się w nim uczucie niewysłowionego szczęścia. Nareszcie miał możność zbliżenia się do niej! To też już w następnej chwili udał się śpiesznym krokiem na dół i zbliżył do drzwi, wiodących do jej kajuty. Serce biło mu jak młotem na myśl, iż będzie mógł być sam na sam z cudną Nelly. Walczył też przeto długo ze sobą, zanim zdobył się na uchwycenie klamki...

Wsunąwszy się cichaczem do kajuty, ujrzał Nelly, leżącą w łóżku z przymrużonymi oczyma. Była blada i widocznie cierpiąca. Wydawała mu się teraz jednak jeszcze piękniejsza, niż dotychczas. Mimowoli ukląkł przy jej łóżu i, wpatrując się w nią pełen zachwyty, szeptał raz po razie „Nelly! Nelly!”. W pewnym momencie ona ocknęła się i rozejrzała zdumiona po kajucie. Potem usłyszał, jak półgłosem mówiła do siebie: „Ja chyba muszę mieć silną gorączkę, bo słyszałam wyrażnie, jak mnie ktoś wołał — „Nelly!”... Te jej słowa podziały na niego, jak prąd elektryczny. Tracąc zupełnie świadomość sytuacji, przyczołgał się do niej jeszcze bliżej i począł bez pamięci całować ją po rękach. Twarz jej przybrała

w tej chwili wyraz niewymownego strachu. Nelly podniosła się na poduszkach, usiadła i z szeroko rozwartymi oczyma nasłuchiwała, gdy on drżącym głosem począł szeptać: „Nelly ubóstwiona, nie bój się! Kocham cię, kocham całą duszą człowieka, który dotychczas nie wiedział co to jest miłość. Całe życie moje poświęcone było tylko pracy nad wspaniałym wynalazkiem, który wkońcu mi się udał. Ale wielki uczony, u którego pracowałem, przez zazdrość chciał mi wydrzeć moją zdobycz, więc musiałem go zabić. Teraz jadę do Twojej ojczyzny, by tam szukać sprawiedliwości. Jeśli ją znajdę, dowiesz się, kim jestem. Pamiętaj wtedy o mnie, Nelly najukochańsza!”...

Po tych słowach, ucałowawszy raz jeszcze szybko jej ręce, wyslizgnął się z kajuty. Po chwili ujrzał w kurytarzu stewardkę, śpieszącą do kajuty Nelly, z której wybiegła zaraz, by potem powrócić z ojcem Nelly i lekarzem. Gdy obaj weszli do kajuty, Dyll wsunął się za nimi. Nelly w wielkiem rozdrażnieniu opowiadała im swoją „halucynację”, powtórzywszy prawie dosłownie to wszystko, co słyszała z ust Dylla. Lekarz uspakajał ją, wyrażając tylko swoje zdumienie, iż wcale nie mógł u niej stwierdzić — gorączki. Nelly, pozostawszy później sam na sam z ojcem, nie mogła się jeszcze uspokoić i zastanawiała się wciąż nad tem, co ją spotkało. Dyll żałował teraz swego kroku, obawiając się, by ukochana dziewczyna nie popadła naprawdę w jakąś chorobę.

Uczuł się też przeto niezmiernie uszczęśliwiony, gdy nazajutrz popołudniu ujrzał ją znowu spacerującą z ojcem po pokładzie. Był to ostatni dzień podróży, bo okręt zdążał już do Nowego Jorku. W chwili, gdy pasażerowie cisnęli się do pomostu, by dostać się na ląd, Dyll, krocząc przez cały czas tuż za Nelly, szybko szepnął jej do ucha: „Pamiętaj o mnie, ubóstwiana Nelly!”... Widział jeszcze tylko jej niewymowne zdumiony wyraz twarzy, poczem pobiegł na most...

... Nie da się opisać zdumienie, jakie zapanowało w Kongresie Waszyngtońskim, gdy nagle z próżnej mównicy odezwał się jakiś głos. Z początku myślano, że to kawał — radjowy. Już po pierwszych jednak słowach niewidzialnego Dylla naprężenie Izby wzmagало się coraz bardziej. Słuchano z zapartym oddechem wywodów istoty dla oka niedostrzegalnej. Kiedy zaś Dyll skończył i zapytał: „Czy uważacie, czcigodni panowie, za winowajcę człowieka, którego spotkało to, co wam tu opowiedziałem?” cała sala rozbrzmiała jakby jednym potężnym głosem: „Nie!”. Prezes Kongresu zaś wezwał niewidocznego mówcę, by się ukazał, zapewniając solennie, że Ameryka nigdy go Anglii nie wyda. Dyll, zabrawszy raz jeszcze głos, zawołał: „Dziękuję czcigodnym panom za okazaną mi życzliwość i pokładałam w nich całą moją nadzieję!”. W następnej zaś chwili, przycisnąwszy odpowiedni kontakt swego cudownego aparatu, — ukazał się nagle niewysłowienie zdumionej Izbie...

Przez długi czas trwało grobowe milczenie, wszyscy bowiem własnym oczom wierzyć nie chcieli, iż to niesamowite zjawisko jest rzeczywistością. Wpatrywano się w stojącego spokojnie na mównicy Dylla, jak w jakiegoś czarodzieja z bajki. Kiedy zaś Kongres ochłonął nareszcie z wstrząsającego do głębi wrażenia, posłowie i senatorowie poczęli gromadnie cisnąć się ku mównicy, by rozmówić się z genialnym wynalazcą. W godzinę później cały świat dowiedział się o tem, co zaszło w Kongresie Waszyngtońskim i nazwisko Dylla na długo stało się jednym z najgłośniejszych...

Jeszcze tego samego wieczoru wręczył mu prezes Kongresu depeszę, która zawierała krótkie, ale dla niego pełne niewysłowionej szczęśliwości zdanie:

„Przyjeżdżam jutro do Ciebie, Twoja Nelly”.

Najrzadszy pierwiastek na świecie

Pierwiastkiem tym, jest silnie radioaktywne ciało, nazwane *protactinium* (protoaktywny). Jest to metal, również jak rad, ale dwa razy rzadszy od ostatniego, czyli — najrzadszy na świecie.

Pośród całego szeregu materij promieniotwórczych, zbadanych po wspaniałem odkryciu radu przez Piotra i Marię Curie w r. 1898, protoaktywny jest jedynym ciałem, poza radem, które można otrzymywać w większych ilościach.

Atom jego eksploduje prawie tak samo gwałtownie, jak i atom radu. Podczas gdy średni wiek ostatniego oblicza się na 2500 lat, okres protoaktywny jest około 20 razy dłuższy, czyli prawie 50.000 lat. Podczas rozpadania się jego atomów, cząsteczki alfa (atomy helu), elektrony i promienie gamma zostają wyrzucone z ogromną prędkością. Zostaje wtedy utworzony atom *aktywny*, co wyjaśnia pochodzenie nazwy nowego pierwiastka: proto-aktywny.

Jednocześnie powstaje cały szereg produktów rozpadu atomowego, a pomiędzy nimi — gazowa emanacja aktywna.

Chemicznie protoaktywny zajmuje 91 miejsce w układzie periodycznym pierwiastków, między torem a uranem.

Istnienie jego było przewidziane przed 60 jeszcze laty przez genialnego chemika rosyjskiego, Mendelejewa, i stwierdzone w r. 1917 jednocześnie przez prof. Hahna i Meitnera w Niemczech, oraz prof. Soddy w Anglii.

Przez dziesięć lat wszystkie zabiegi, zmierzające ku wydzieleniu tego nader rzadkiego ciała, były bezowocne.

Dopiero w listopadzie r. 1927 dyrektor Instytutu Badań Chemicznych w Szanghaju, A. Grosse, wychodząc ze zgoła nowych metod, otrzymał po raz pierwszy protoaktywny w postaci jego czystego tlenku.

W r. 1927 zdołano otrzymać zaledwie dwa miligramy protoaktywny.

Trzeba było stworzyć zupełnie specjalny sprzęt chemiczny, aby móc przeprowadzić wszystkie potrzebne próby w ciągu kilku tygodni z tak minimalną ilością substancji.

Doświadczenia te przeprowadzono we wspaniałe urządzonej Instytucie Chemicznej w Berlinie.

Protoaktywny w stanie naturalnym zawsze towarzyszy radowi w rudach i minerałach

uranowych, w stosunku 0,6 grama na gram radu.

W najbogatszych rudach uranowych protoaktywny znajduje się w fantastycznie drobnej ilości jednej części na 10.000.000 części rudy!

Dzięki specjalnym metodom, opracowanym przez Instytut Chemiczny w Szanghaju, obecność protoaktywny może być wykryta w roztworze tak słabym, jak jedna dwubiljonowa część.

Protoaktywny zbiera się w resztkach, które, otrzymywane z rud uranowych przy dożywaniu radu, były dotychczas wyrzucane, jako nie mające wartości.

Jeden gram radu kosztuje obecnie 65.000 dolarów. Protoaktywny, o ile chodzi o jego wartość rynkową, byłby tańszy, gdyż sam proces dożywania go jest tańszy.

W celach otrzymania większych ilości protoaktywny, niż 2 miligramy, w r. 1928 zaczęto przerabiać odpadki radowe w Niemczech.

Z pół tonny tych odpadków zdołano wydobyc 40 miligramów protoaktywny. Pracę tę wykonały zakłady Farbenindustrie w Ludwigshaven.

Należy zauważyć, że Stany Zjednoczone i Belgja są jedynymi krajami, które mogą dostarczyć surowca do otrzymania tego rzadkiego elementu.

W rudach radowych fabryk amerykańskich, pracujących na materiałach uranowych z Utah i Colorado, kryje się więcej; niż 100 gramów protoaktywny — ilość ogromna, skoro zważymy, że w całym świecie wyprodukowano dotychczas nie więcej niż 350 gramów radu.

Belgja produkuje rad z bogatych rud, importowanych ze swych kolonij afrykańskich. Rudy te dają mniejsze ilości odpadków radowych, ale wyższego gatunku.

Jaką korzyść naukową może przynieść protoaktywny, jest jeszcze tajemnicą.

W medycynie, w każdym razie, będzie on miał inne zastosowanie, niż rad, gdyż działanie jego na organizm żywy jest również inne.

Widoczną jednak korzyścią z protoaktywny jest możliwość otrzymania z niego aktywny, który dotychczas używany był w radioterapii w bardzo rozcieńczonym roztworze, jako ciało 100 razy aktywniejsze od radu.

Z. K.

Niezwykłe malarstwo

(Malarz w autohipnozie)

Napisał:

Prosper Szmurło

Twórczość artystyczna jest niewątpliwie jedną z naszych właściwości psychicznych wyższego rzędu i przedstawia zagadnienie tak ciekawe, że niczego nie należy pomijać, co mogłoby ów problemat choć nieco wyjaśnić. Nie można przeto ignorować i twórczości zaświadomej, a więc u medjów w transie, oraz w stanach mu pokrewnych, jak hipnozie, lub autohipnozie.

Ten ostatni, dość rzadki jej rodzaj miałem możność niejednokrotnie dokładnie obserwować, zwłaszcza podczas mych prób i doświadczeń z artystą-malarzem p. Arnoldem Radwanem-Radziszewskim, urodzonym w 1893 r. w Baranowiczach, którego ród jednak wywodzi się z Grodzieńszczyzny. Opowiem wpierr w jakich warunkach i w jaki sposób owa niezwykła zdolność u niego się przejawiała. Omówię to nawet nieco obszerniej, geneza jej bowiem, jest, mojem zdaniem, dość ciekawa z psychologicznego punktu widzenia.



A. Radwan - Radziszewski

Prawie całe swe życie p. A. Radwan-Radziszewski spędził w Rosji, w Kazaniu, następnie zaś w Jałcie, gdzie ojciec jego, inżynier z profesji, był dyrektorem fabryki. Tam też p. A. R. uczęszczał do gimnazjum, ucząc się jednocześnie rysunku i malarstwa, do którego zawsze miał pociąg, być może nawet dziedziczny, przez matkę bowiem spokrewniony jest z gwiazdą naszej sztuki, ś. p. Henrykiem Siemiradzkim. Przewrót bol-



Art. malarz
A. Radziszewski,
malujący
w autohipnozie w Warsz.
Tow. Psychologicznem

szewicki pozbawił pp. Radziszewskich ich majątku w postaci domu, willi i kapitału. Na domiar złego p. A. R. został potem przez bolszewików zaaresztowany i wtrącony do więzienia. Prawie codziennie w nocy zwyrodniali oprawcy wchodzili do cel i, budząc swe nie-szczęsne ofiary, kazali niektórym z nich zabierać rzeczy i wracać do domu. Wiedzano, jednak dobrze, iż żaden z nich nie wróci, rozstrzelivano ich bowiem zwykle przy najbliższej ścianie.

Dość często straż więzienna pozwalała sobie poza tem na takie żarty z biednych skazańców. Wywoływano czyjeś nazwisko, gdy zaś właściciel jego, sądząc, że chwile jego życia są już policzone, pożegnał się z towarzyszami i zrezygnowany dążył ku wyjściu, oświadczano mu, że zaszła pomyłka i odczytywano ze spisu nazwisko innego więźnia, który już cieszył się, że choć tę noc prze-pędzi spokojnie. Była to wyrafinowana tortura moralna, której nie uniknął i p. A. Radziszewski. Można sobie wyobrazić, jak podobna atmosfera oddziaływała na biednych skazańców, z których żaden nigdy nie był pewien, czy ujrzy jeszcze dzień jutrzejszy.



„Człowiek śmiechu”, wykonany w autohipnozie



„Bajka”, wykonana w autohipnozie

nad każdym bowiem wisiała ustawicznie groźba śmierci z rąk krwawych zbirów. Jedni rozpaczali i płakali, drudzy z rezygnacją oczekiwali na swój los, inni, pogrążeni w tępej apatii, na nic już nie zwracali uwagi, niektórzy napróżno wysilali mózg, aby znaleźć jakiś sposób ratunku, paru dostało obłądu.

To samo mniej więcej przeżywał i pan A. Radziszewski. To szybkim krokiem przemierzał ponurą celę, to znów, siedząc nieruchomo, godzinami wpatrywał się w wilgotne ściany upstrzone napisami i rysunkami dawniejszych więźniów, których skrawione szczątki spoczywały już zapewne snem wiecznym w wspólnym dole. Po okresach takiej apatii następowały okresy podniecenia, gorączkowych wysiłków myśli i odwrotu. Niekiedy, gdy wpatrywał się tak w ścianę, wyobrażnia jego z bezkształtnych plam wilgoci i pęknięć na murze tworzyła najfantastyczniejsze obrazy. Raz, dłużej nieco patrząc w ten sposób na jakiś punkt i marząc o wydostaniu się na wolność, p. A. R. niepostrzeżenie stracił świadomość i zapadł w jakiś dziwny sen, ręka jego bowiem, jak mu potem opowiedzieli zdziwieni towarzysze niedoli, ujęła napół zwęgloną drzazgę, która wypadła z pieca i bezwiednie zaczęła kreślić na ścianie jakies szubienice, wisielców, trupy... Po obudzeniu się p. A. R. ze zdumieniem oglądał owe rysunki, nie chcąc wierzyć, że sam je wykonał.

Los okazał się dla p. A. R. nieco łaskawszy, niż dla wielu innych, udało mu się bowiem uniknąć kuli bolszewickiej, uwolnić się z więzienia i wreszcie wrócić do ojczyzny, tracąc jednak w czasie uciążliwej podróży ojca, wkrótce zaś potem, już w Warszawie, siostrę, również artystkę-malarkę. W Warszawie, starając się zapomnieć o okropnych przeżyciach w Bolszewii, p. R. kontynuował swoje studia malarskie.

Raz w 1926 r., leżąc zamyślony w łóżku, p. R. wpatrywał się w odbłask świecy w karmfencie z wodą i po pewnym czasie niepostrzeżenie zapadł w sen. Nie był to jednak sen zwykły, gdyż — o czym dowiedział się potem od obserwującej go wtedy matki — mówił coś przez sen, ręka zaś jego jakby czegoś szukała naokół i kreśliła jakieś zygizaki w powietrzu. Nieco tem zaniepokojony, ale zarazem i zaciekawiony p. R. postanowił powtórzyć już świadomie podobną próbę.



„Fantazja” (autohipnoza)

oglądać na projektowanej przez artystę wystawie.

Należy zaznaczyć, że zdolność zapadania w sen hipnotyczny, któremu zwykle towarzyszy pewne chwilowe naruszenie równowagi psycho-fizjologicznej w organizmie, może być już wrodzona, lub wyrobiona. Silne przeżycia i wstrząsy mogą, zdaje się, jak u pana R., przyspieszyć, lub ułatwić przejawienie się owej zdolności, wyzwalającej niekiedy ukryte talenty i pozwalającej zapoznać się nieco z naszą zaświadością, w której, być może, kryje się źródło natężnienia.

Niejednokrotnie byłem świadkiem ciekawych prób z p. A. Radziszewskim i opiszę teraz ich przebieg. Przeważnie wieczorem przy świetle lampy zaciemnionej abażurem czerwonym i przy bezwzględnej ciszy artysta, siedząc na krześle i głęboko, rytmicznie oddychając, wpatruje się przez kilka minut w jakiś umyślnie umieszczony w pobliżu przedmiot błyszczący. W pewnej chwili powieki jego zaczynają drgać, oczy zamykają się, a głowa bezwładnie opada na piersi. Zapada w sen. Nie reaguje już wtedy, jak to doświadczalnie stwierdzono, na bodźce zewnętrzne. Upływa parę minut, poczem głowa śpiącego powoli unosi się, oczy otwierają się, usta drgają, wypowiadając jakieś urywane zdania i wyrazy, najczęściej o walce dwóch żywiołów, światła i mroku, dobra i zła, życia i śmierci, co nieraz powtarza się



„Błędny
ognik”

(autohipnoza)

Zaopatrzywszy się w papier i kredki, p. R., siedząc wygodnie w fotelu, utkwiał wzrok w jakimś błyszczącym przedmiocie i istotnie wkrótce usnął, po obudzeniu się zaś dostrzegł na papierze wykonany przezeń bezwiednie w czasie snu rysunek. Zrozumiał wtedy, iż posiada zdolność łatwego wprawiania siebie w stan autohipnozy. Na szczęście nie przeraził się tem, lecz zapragnął badać nadal tę swoją właściwość, a nawet podporządkować ją swej woli. Rzeczywiście, od tego czasu p. R., uprawiając malarstwo świadome, tworzył też od czasu do czasu w autohipnozie. W ten sposób powstało już kilkadziesiąt takich prac, wciąż też przybawiają nowe, które, zapewne, można będzie

i potem już podczas malowania; spoczywając na kolanach ręka wyciąga się ku umieszczonej w pobliżu szkatułce z pastelami, chwytając którąś z kredek i szybkimi zdecydowanymi ruchami zaczyna kreślić na przy-mocowanym do deski, lub tektury papierze, opartym zwykle na kolanach śpiącego, zmieniając od czasu do czasu kredki i cieniując barwy pociągnięciami palców. Chwilami artysta przerywa pracę, wpatrując się gdzieś w przestrzeń, jakby dostrzegał tam jakiś, dla niego tylko widzialny model. Po 10—20 minutach ręka zwykle opada bezsilnie, wypuszczając kredkę, oczy się zamykają, głowa znowu skłania się na piersi i po paru minutach następuje przebudzenie się. Artysta prosi o wodę, zapala papierosa, wstaje i z zaciekawieniem ogląda swój obraz, jakby



„Muzyka śmierci”, wykonana świdomie



„Pajęczyna” (autohipnoza)

nie był jego własnem dziełem, twierdząc, iż nic nie pamięta, co zaszło podczas snu hipnotycznego, w który sam siebie wprowadził. Niektóre obrazy wymagały parokrotnego zapadania w autohipnozę, niekiedy zaś zaczęte świdomie, wykończane były w autohipnozie i odwrotnie.

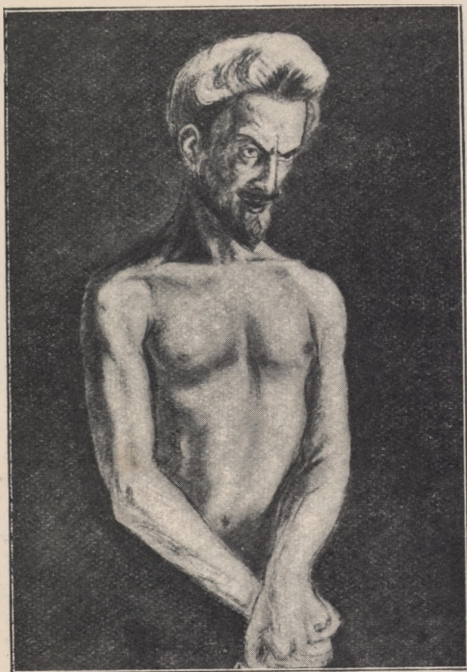
Czy jest to jednak istotnie autohipnoza. Oto pytanie, nasuwające się każdemu krytycznemu widzowi, tem bardziej, że p. R. jest wszak artystą-malarzem, umie więc wogóle malować, tworzy też i świdomie. Na pytanie to trzeba odpowiedzieć twierdząco, występują bowiem podczas opisanych prób obiektywne, nie dające się naśladować oznaki, usuwające wszelkie wątpliwości. Tętno, wynoszące przed próbą 80—90, dosięga podczas snu 130 na minutę, stając się przytem

nitkowatym i trudno wyczuwalnym, po obudzeniu się znowu powraca do normy; ręce stają się lodowato-zimne; wrażliwość na bodźce zewnętrzne i na ból zanika. Podczas próby, na którą był zaproszony bawiący wtedy w Warszawie dyrektor Międzynarodowego Instytutu Metapsychicznego w Paryżu, doktor E. Osty, lekarze w mojej obecności boleśnie szczypali pana R., oraz przekłuwali mu szpilkami ręce i szyję, śpiący jednak ani drgnął.

Cóż przedstawiają wielobarwne obrazy w tak niezwykły sposób wykonywane? Prze-

„Szatan
i
ofiara”
(auto-
hipnoza)





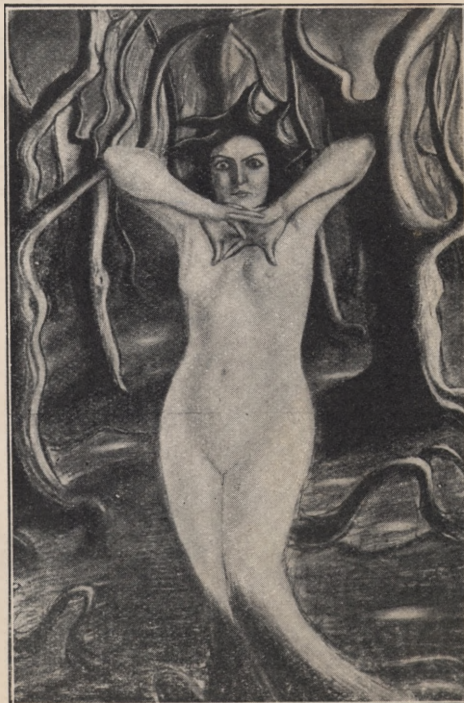
Studjum z natury, wykonane świadomie

ważnie twarze ludzkie, wyrażające grozę, przerażenie, boleść, złość, niekiedy zaś jakieś twory fantastyczne. Jest to prawdopodobnie skutkiem strasznych przeżyć w Bol-szewji, które nie mogły nie pozostawić śla-du w psychice, oraz indywidualnych właści-wości wyobraźni p. R., nie zadowolającej się odtwarzaniem przeciętnych typów i scen. W porównaniu ze świadomymi pracami ar-tysty, obrazy wykonane w autohipnozie są mniej wykończone, traktowane raczej szki-cowo, ale za to, mojem zdaniem, przewyż-szają tamte ekspresją i rozmachem, nie mó-wiąc już o szybkości ich wykonania. Dla ułatwienia czytelnikom zdania sobie sprawy z charakteru twórczości p. R. umieszczam tu kilka, sfot. przez p. A. Długopolskiego, reprodukcji z jego obrazów, tak świadomych, jak i zaświadczone, choć nie mogą one, niestety, oddać kolorytu oryginałów.

Pan Radziszewski nie może zgóry prze-widzieć, co namaluje w autohipnozie i treść obrazu, który wtedy powstaje, jest dlań ta-ką samą niespodzianką, jak i dla otoczenia biernie przyglądającego się doświadczeniu. Jeżeli jednak silnie chce i odpowiednio sku-

pi się przed uśnięciem, może naówczas na-malować i to, co zapragnie, nawet portret obecnej osoby. Wpływ woli, czy to swej wła-snej, czy nawet obcej, potwierdzają i moje z nim doświadczenia hipnotyczne. Zhipno-tyzowany przeze mnie pan R. narysował poddany mu temat nie tylko podczas samej hipnozy, ale też innym razem, wskutek od-powiedniej sugestji, już po obudzeniu się, a więc w tak zwanej posthipnozie, zupełnie świadomie, przyczem oba rysunki nie różni-ły się zbytnio od wykonywanych w auto-hipnozie.

O oddziaływaniu woli, oraz pewnego, że tak powiem, nastawienia się psychicznego, świadczą też i inne jeszcze próby z p. R. Przed samem zapadnięciem w autohipnozę opowiada się mu jakąś przeważnie tragiczną historję, której on sam, oczywiście tylko w wyobraźni, ma być bohaterem, naprzy-kład, że w średniowieczu został oskarżony o czary, poddany torturom, skazany na stos i w ostatniej chwili uratowany z płomieni. W autohipnozie p. R. odgrywa to wszystko



„Alraune”, wykonana częściowo w auto-hipnozie, częściowo świadomie

mimicznie, zrywa się z fotela, załamuje ręce, zwraca wzrok to w tę, to w tamtą stronę, na twarzy zaś jego z przedziwną wyzistością odzwierciedla się cała gama różnorodnych uczuć, jak strach, groza, ból, rozpacz, radość i t. p., co wymaga nieprzeciętnych zdolności dramatycznych, nie posiadanych przezeń na jawie.

Muszę nadmienić, że u p. R. nietylko autohipnoza, ale też i hipnoza mają coś wspólnego z transem, występują w nich bowiem objawy samorzutne bez żadnej sugestji postronnej.

Warto zaznaczyć, że p. R. nie skłania się ku spirytystycznemu tłumaczeniu owych niezwykłych jego właściwości wcielaniem się weń zmarłych, lecz jest przekonany, iż ma tu miejsce tylko spotęgowanie jego własnych zdolności w pewnym stanie psychofizjologicznym.

Pomiędzy dwoma rodzajami twórczości p. A. Radziszewskiego, t. j. świadomą i za-

świadomą, istnieje, według mnie, dość ścisła łączność, gdyż im więcej maluje on świadomie, tem lepsze, mojem zdaniem, tworzy obrazy w autohipnozie, im zaś częściej w nią zapada, tem łatwiej i lepiej maluje na jawie. Widocznie nabywana świadomie wprawa dopomaga mu w autohipnozie, wzmożone zaś w tej ostatniej wyobrażenia i fantazja nie pozostają bez wpływu i na jego normalne prace, które też zwykle mają na sobie piętno pewnej niesamowitości, słowem — świadomość i zaświadomość jakby wspierają się wzajemnie z korzyścią dla artysty.

Kto wie, czy, badając podobne wypadki, nie zdołamy kiedyś znaleźć metody, ułatwiającej korzystanie w praktyce z nieznanych nam jeszcze skarbów naszej zaświadomości, posługującej się może i pozazmysłowymi sposobami poznania, oraz posiadającej daleko szerszy zakres, niż zwykła nasza świadomość.



Napisał

Zdzisław Kleszczyński

Weszła do gabinetu redaktorskiego i zatrzymała się na progu, sploniona.

— Czem mogę pani służyć?

Spojrzała na przystojnego mężczyznę, który powstał na jej powitanie i stał teraz, oparty o krawędź biurka — i zarumieniała się od stóp do głów. (Była ubrana modnie, więc to nie jest figura retoryczna).

— Jestem .. początkującą autorką.

— Aha. Pewnie szanowna pani ma w zanadrzu swoje utwory?

— W... torebce.

— Raczy pani spocząć.

Usiadła.

— Pani już coś drukowała?

— Tak... To jest, właściwie, nie.

— ?

— W jednym piśmie kobiecym... Ale to się chyba nie liczy.

— Dlaczego?

— Takie małe pisemko... Zresztą, to było o firankach.

— O firankach?

— Tak. Podawałam kilka nowych sposobów zawieszania firanek w salonie...

— Aha. — — Proszę mi tedy pokazać, co pani nam przyniosła.

— Kiedy... Ja jestem taka nieśmiała... I wstydzę się.

Zrobiło mu się żal tego młodzieńka, wstydliwego kobieciątka. Zresztą zauważył już, że jest niewątpliwie ładna. Powiedział miękko:

— Proszę się nie tremować, droga Pani. Każdy z nas stawiał kiedyś pierwsze chwiejne kroki na niwie literackiej i przeżywał straszne emocje, niosąc swoje, że tak powiem, „pierwiosnki” — do oceny starszemu koledze.



Weszła do gabinetu redaktorskiego i zatrzymała się na progu, sploniona

— Pan jest strasznie dobry!
 — Więc służę pani. Mam właśnie pół godzinki czasu. Przeczytamy wspólnie te rzeczy.
 — Może pan raczej sam, pocichu...
 — Czy to pisane na maszynie?
 — Naturalnie!
 — Chwała Bogu. Rękopisów, przyznam się pani, już nie potrafię...
 Wyjęła z torebki skrypt i podała mu go z wahaniem.
 — Tylko ja... Jeżeli pan pozwoli...
 Siadę sobie tam, w kąciaku.
 — ?
 — Naprawdę, jestem taka wstydliva...
 — Jak pani każe.

*

„...Henryk oderwał się od jej ust, ale tylko na chwilę” — czytał — „Potem rzucił się naprzód, jak tygrys, i zanurzył swe głodne, wiecznie łaknące męskie wargi w różowym mięszu jej warg. I one łaknęły! Wszystko dookoła zawirowało. Poczuli, że lecą w jakąś czerwoną przepaść, w której bytuje wieczna chuć. Z przeraźliwym okrzykiem rozkoszy stężała w jego ramionach. Przewrócili lampę — —”

*

Na chwilę przerwał czytanie, przetarł binokle i spojrzał na swoją klientkę, zlekka oszołomioną. Zapytał:

— Proszę pani... Dlaczego oni przewrócili lampę?

— A bo runęli na perski dywan — odpowiedziała z prostotą.

— Aha! Rozumiem.

— To jest dalej. Pan jeszcze nie doczytał.

*

„...Przewrócili lampę” — kontynuował — „I runęli na perski dywan. W buduarze zapanowała ciemność zupełna, przerywana tylko od czasu do czasu światłem przelatującego samochodu, autobusu, lub tramwaju, i szmerem oddechów. Pożerali się pocałunkami, jak dwoje ludożerców”.

*

Był trochę zażenowany. Chrzą! — Bardzo sugestywne. Ba! A propos ludożerców: nie wiedział, że się tak lubią całować?

Podniosła na niego wielkie, błęoczny. Oczy dziecka.

— Mówił mi mój kuzyn, który marynarzem — —

— Ze co?

— Że na wyspach Pacyfiku ludożercy są szalenie namiętni.

— Co pani mówi!?

— Tak! Staś opowiadał, że oni ściwie całe życie nic innego nie robią.

— Staś?

— Mój kuzyn, ten marynarz opowiadał...

— A! — — Ciekawe. Bardzo ciekawe! — — Więc całe życie — powiada pan Stanisław, pani kuzyn. — — Ludożercy nic innego nie robią, tylko — — — ?

Uśmiechnęła się niebiańsko.

— Tylko to właśnie...

— Dzielni ludzie.

Podrapał się mimo woli za uchem. Złożył ostrożnie maszynopis.

— Proszę pani. Czy pani nie ma przy sobie przypadkowo innego jakiego utworu?

Zacząła pośpiesznie szukać w torebce.

— Mam. Oto jest.

Rzucił podejrzliwie okiem na tytuł.

— „SOBÓTKA”? Coś ludowego?

— Tak jest.

Odetchnął z ulgą.

— Dobrze, zaraz zobaczymy.

*

„...Smagłe nogi Jagny” — czytał — „migwały wśród wilgotnej paproci, którą z królewskim przepychem usłana była łąka. Biegła, jak rusalka, gibka i zwinna, wydając od czasu do czasu przejmujący, miłosny krzyk. I, kiedy tak leciała rosa, przed siebie wyrwywając, jak piorun z nieba, stanął przed nią Iwo. — Moja-ś! — Ogłuszył ją najpierw krzyk, pijany szczęściem, potem gest. — — Twoja-m! — — Padła mu w mocarne ramiona, jak dęby... Ni-to świetliki, ni-to chochliki.



...Mówił mi... że na wyspach Pacyfiku
ludożercy są szalenie namiętni...

rozgorzały nad młodą dorodną parą
sobótkowe ognie... I ziścił się męt Sło-
wian, w gontynach modrzewiowych
zazdrośnie zawęciagnięty... Oddała mu
się, jak to żywiczne bierwiono, czeka-
jące przyjscia cieśli, a on spadł na nią,
jak wspaniała kielnia, która wszystko
drużgoce — —

*

— Droga pani — powiedział z na-
mylem, dobierając słów. — Mam, co
do drugiego utworu, (który jest też
prześliczny!) pewne zastrzeżenia.

— Jakże?

— Pani używa tu, między innymi
obrazami, bardzo interesującego obra-
zu. Porównywa pani Jagnę, *iszczącą*
myt Słowian, do żywicznego bierwio-
na...

— Tak.

— W takim razie dalej — pani ra-
czy mi darować. — Jest pewne pomię-
szanie profesji. Zamiast cieśli przy-
chodzi murarz.

— Murarz?

— No, tak. Pani pisze następnie
o kielni?

— Rzeczywiście...

— W dodatku o kielni, *która*
wszystko drużgoce. Czy pani widziała
kiedy kielnię?

— No, naturalnie...

— Więc niech mi ją pani opisz.

— Taki... kilof.

— Nie, droga Pani. Kielni używa
się do równania i kładzenia cegieł.
Kielnią czerpie i kładzie się wapno...
To jest, widzi pani, rodzaj takiego
trójkątu, osadzonego na krótkiej rę-
kojeści... To nie służy do *drużgota-
nia*... Z kielnią należy się obchodzić
ostrożnie, bo inaczej taka kielniaby się
popsuła...

Zaczerwieniła się, jak mak, i po-
wiedziała, skubiąc róg chusteczki:

— Nie wiedziałam...

Złożył starannie drugi maszynopis
i oddał, wraz z pierwszym, autorce.
Potem poprawił się w fotelu, spojrzał
łagodnie na początkującą koleżankę
i zaczął:

— Droga pani. Radbym szczerze
wydrukować jakąś pracę pani, ale
nie mogę, niestety. Oba utwory są
bardzo interesujące, bardzo, że tak
powiem, kolorowe, bardzo ładne —
oba zapowiadają ogromny talent, a
może nawet genjusz pani — oba rze-
czywiście pełne są tej specyficznie
kobiecej wstydlivosti, która posiada
tyle czaru! — i która w pani *osobi-
stym* sposobie bycia tak zniewala —
ale, daruje droga pani — drukując
te utwory, naraziłbym pismo nasze
na sprawę z artykułu 281-go kodeksu
karnego.

Otworzyła szeroko oczy i przybla-
dła.

— Zaraz pani przeczytam ten arty-
kuł.

Sięgnął po tom, leżący za nim na
półce, szukał chwilę, poczem zaczął
czytać bardzo dobrotliwie:

„Winny przechowywania na sprze-
daż, sprzedaży, publicznego wystawie-
nia, lub innego rozpowszechnienia
świadomie bezwstydných utworów, lub
wizerunków, będzie karany *aresztem*
na czas do miesięcy 3-ch, lub *grzyw-
ną* do złotych 600. Nadto, jeżeli wi-
nowajca jest handlującym, albo re-
daktozem wydawnictwa periodyczne-
go, sąd mocen jest pozbawić go pra-
wa handlu, lub prawa być redakto-

rem, na czas od 1-go roku do lat 5-ciu".

Zamknął Kodeks karny.

— Ze stylizacją tego artykułu — powiedział z wielką powagą — niezupełnie się zgadzam. Ustęp „mocen jest pozbawić go prawa handlu lub prawa być redaktorem” przyprawia mnie poprostu o newralgię... Ale z *duchem* artykułu 281-go zgadzam się bez zastrzeżeń. Dlatego — — — —

Urwał.

— Dlatego?

— Dlatego radziłbym pani wstrzymać się na razie od drukowania takich utworów i — — — —

Zauważyła, że kąciki jego ust lekko drżą. Mogło to oznaczać, że mu się zbiera na płacz; ale mogło także zdradzać niepohamowaną chęć śmiechu.

— I — — — — ?

— I radziłbym wyjść jak najprędzej zamaż. Ot, chociażby za tego kuzyna, pana Stanisława marynarza. Po roku pożycia małżeńskiego będzie pani miała wizję znacznie spokojniejsze.

Wstała, obrażona, jak królowa.

— Nie przyszedł do pana po rady matrymonjalne.

Wówczas stało się coś okropnego. Podeszedł do niej, ujął jej główkę oburącz i pocałował ją, zanim zdążyła się opamiętać, w czoło. Była do tego stopnia skonsternowana, że przez chwilę nie mogła tchu złapać. Wreszcie wybuchnęła:

— To jest bezczelność!

— A narażać spokojnego człowieka na 3 miesiące paki, lub 600 złotych grzywny, to nie jest bezczelność?

*

Zostali najlepszymi przyjaciółmi. Rzeczywiście wyszła zamaż za tego marynarza. Był na ich ślubie. Ale obecnie tak się rzeczy układają, że ona pewnie rozwiedzie się z marynarzem i wyjdzie za niego. Bo okazało się, że pan Stanisław w swoich opowiadaniach o Pacyfiku grubo przesadzał...



Misterja pasyjne w Oberammergau

Napisał:
B. Szarlitt

Położona w pobliżu stolicy bawarskiej, Monachjum, wieś Oberammergau zasłynęła na cały świat ze swych wspaniałych misterjów pasyjnych, urządzanych prawie co lata.

Jest to nie mający sobie równego teatr na otwartem polu, w którym wieśniacy przedstawiają drogę męczeńską Chrystusa Pana od chwili, gdy stanął przez Piłatem Ponc-

Guido Mayer
odtwórca
Judasza

U dołu.
podjum i scena
środkowa





Anni Rutz, odtwórczyni *Małki Boskiej*

Znajdują się wśród tych aktorów wiejskich prawdziwi mistrze, którzy wprawiają w zachwyt artystów zawodowych. Gra ich posiada nawet pewne znamiona, z jakimi nie można spotkać się w teatrze, ponieważ wypływają one z zapału religijnego, ze świadomości, iż chodzi o odtwarzanie rzeczy świętej. Jest w tej grze coś nieuchwytnego, co i najmniej pobożnego słuchacza napęla uczuciem wzniosłym. Szkoda tylko, iż od pewnego czasu reżyserja misterjów oberammergauskich spoczęła poczęści także w rękę aktorów monachijskich. Wnieśli oni bowiem w te ludowe przedstawienia pewien żywioł fachowy, który nie zawsze przyczynia się do polepszenia całości. Mimo to jednak wrażenie pozostaje jeszcze zawsze nadzwyczajne, zwłaszcza w niektórych obrazach, przejmujących swoją grozą.

Już sam widok tego teatru wiejskiego wytwarza nastrój, nie dający się porównać z żadnym innym. Na tle cudownej okolicy

kim aż do ukrzyżowania. Już sam fakt, że aktorami tej jedynej w swoim rodzaju sceny są zwyczajni chłopcy, którzy z pobożności od dziesiątków lat wystawiają to misterjum, stanowi niebywałą atrakcję. Jest zaś rzeczą dowiedzioną, iż oberammergauczyki wpadli na ten pomysł dzięki odnalezionej przez jednego z ich proboszczów starej księgi z XV-go wieku, zawierającej podobne misterjum, wystawiane wówczas w klasztorze św. Ulryka w Augsburgu. Nie poczynili oni też wielu zmian w tym pierwotnym wzorze, o czym świadczy najlepiej archaiczny język, którym do dziś dnia się posługują na swej scenie. Działa zaś ten język nadzwyczajną prostotą swoją na słuchacza nowoczesnego tem silniej, że przejawia się w nim dziecięca wiara ludu i szczerza naiwność, z jaką wiekopomne wydarzenia biblijne nagina do ludowego sposobu myślenia. Sam Zbawiciel i wszystkie inne postaci przemawiają do prostej duszy chłopskiej.

Z biegiem lat u mieszkańców Oberammergau utarł się zwyczaj, że poszczególne „role” stały się „dziedzictwem” niektórych rodzin. W przedstawieniach zaś bierze udział niemal cała wieś, która też przez długie miesiące odbywa próby.



Hansi
Preisinger,
odtwórczyni
Magdaleny

górskiej wznosi się olbrzymich rozmiarów scena, różniąca się pod każdym względem od znanego nam typu. Jest ona bowiem zbudowana poczęści na wzór średniowieczny, a poczęści — sceny staroangielskiej. Składa się mianowicie z wielkiego „podium” na przedzie i ze sceny środkowej w głębi. Po obu stronach tego podium ciągnie się długa kolumnada, zamykająca się ku scenie środkowej na lewo domem Pilata i bramą, na prawo domem Kaifasza i również bramą. Od lewej strony zaś sceny środkowej ciągną się w głąb ulice, od prawej widoczna jest Jerozolima. Nietrudno też domyślić się, iż na takich rozmiarów scenie możliwe są obrazy, które na żadnej innej wystawićby się nie dały. Chodzi tu zaś przedewszystkiem o wielkie masy ludu izraelskiego, napływające zdala ku domom Pilata i Kaifasza, o chóry, gromadzące się w kolumnadach, o wjazd Chrystusa Pana do Jerozolimy, a wreszcie o Golgotę.

Zdumiewająca jest ar-

tystyczna skończoność, z jaką ci wiejscy aktorzy poruszają się na swej scenie, precyzja, z jaką zwłaszcza olbrzymie masy wywiązują się ze swego zadania. Najznamienniejsza pod tym względem jest wielka scena przed Pilatem. Niema chyba na świecie drugiej sceny, na którejby się mogło coś podobnego rozegrać. Oto lud izraelski nadciąga zdala czterema wielkimi tłumami. Te cztery chóry przemawiają najpierw oddzielnie. Stopniowo zaś łączą się do coraz bardziej wzmagającego się wspólnego zabierania głosu, aż nareszcie wybucha żywiołowe oburzenie całego zgromadzonego ludu. Niesłychanie wstrząsające wrażenie wywołuje tu w szczególności powtarzające

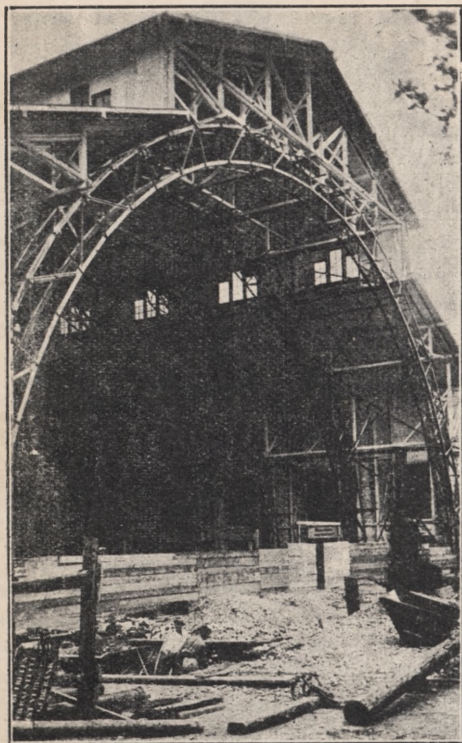


Alois Lang,
odtwórca
Zbawiciela

Zbawiciela. I musi on z coraz bardziej wzrastającym podziwem śledzić nieporównany spo-

się z wprost
druzgocącą
potęgą: „U-
krzyżuj go! Ukrzy-
żuj go!”

Uwagę widza skupia
na sobie jednak prze-
dewszystkiem postać



Żelazna konstrukcja sceny w Oberammergau

sób, w jaki aktor wiejski odtwarza tę tak trudną rolę. Co najpierw uderza, to iście nie z tego świata mina męczennika, znoszącego wszystko z pokorą. Ma się chwilami naprawdę wrażenie, że ten człowiek w religijnej swej ekstazie wznosił się na kilka godzin ponad ziemskość i w jakiejś wizji odtwarza to, co dusza jego przeczuwa. Dotyczy to zwłaszcza sceny przed Piłatem, w której zapomina się zupełnie, iż jest to tylko — przedstawienie. Do głębi zaś wstrząsa, gdy wisi na krzyżu. W chwili, kiedy oko łamie się i głowa ciężko spada na pierś, a ostatnie spojrzenie szu-

ka jeszcze Matki, dreszcz grozy przejmując każdego. Wobec tej kreacji inne, oczywiście, maleją, chociaż nie można odmówić Judaszowi i Magdalenie, że z zadania swego wspaniale się wywiązują.

Niektóre obrazy niezatarte pozostawiają w pamięci wrażenie dla swej niewiarygodnej wprost doskonałości. Przedewszystkiem Wierczerza Pańska i wjazd Chrystusa do Jerozolimy. Trudno wyobrazić sobie, by w teatrach zwyczajnych podobna skończoność była wogóle możliwa. Na niezwykłym poziomie znajduje się chór i muzyka, aczkolwiek chwilami nużą swoją monotonością.

Jeśli zaś co zastanawia, to niezrozumiała dysproporcja między mężczyznami a żeńskimi siłami. Kobiety naogół grają swoją nie dorównyując mężczyznom. Jest w nich pewna rażąca „teatralność”, a miejscami także widoczny brak zrozumienia doniosłości danego momentu.

Całość jednak jest pod każdym względem czemś tak odbiegającym od wszystkiego, co się nazywa „teatrem”, że zapomina się o niektórych niedociągnięciach i oddaje z niezwykłym skupieniem jednemu w swoim rodzaju widowisku. Tem bardziej zaś razi, o ile się nie jest Niemcem, to, co się dzieje w antraktach. Szczególny to jednak naród ci Niemcy! Nawet gdy patrzą na męki Pana, muszą później „pocieszać się” — piwem. Co zaś najgorsze, to to, że i — „aktorzy” stykają się przy tej sposobności z p. t. publicznością. Dziwne też robi wrażenie taki „Judas”, siedzący przy — kuflu bawara. Ale trudno, co kraj, to obyczaj...

Zapomina się jednak szybko o tem dość brzydkim „Zwischenspiel”, gdy akcja nanowo się rozpoczyna. To też kto miał sposobność być w Oberammergau, w tego pamięci pozostaje jakby jakaś pozaziemska wizja...

Fotografie W. de W. o. l. d. i. b. o. t. o. s.



Przygotowawcze, długo etnie studja wtajemniczenia w gaju yogów

Fakiryzm hinduski

Napisał

Mieczysław Jarosławski

Na tłumnych i hałaśliwych bazarach, w tajemniczych gajach, na ziejących żarem i gryzących kurzem drogach, podczas fanatycznych uroczystości ludowych w górach, lasach i dżungli, wśród ruin, u podnóża olbrzymich kamiennych bóstw bramińskich — wszędzie wyrasta yogi, częściej fakir gnany z miejsca na miejsce siłą przyzwyczajenia, czy może jakiegoś wewnątrz niego działającego fatum, — napół nagi, oblepiony często nawozem krowim i upudrowany popiołem, o świecących, kocich źrenicach, o niechlujnym zaroście,

cichy i litości godny, a wzbudzający wyglądem swym abominację i lęk, choć jednocześnie i zaciekawienie, graniczące z przesadą o jego dziwnej mocy.



Pierwsza karta „Turota”

Tacy fakirzy i yogowie, żywiący się z jałmużny — wszyscy szanowani są i czczeni za wyrzeczenie się dóbr tego świata, samoudręczenie, ascezę i wiarę fanatyczną, za dobrowolne oddanie się życiu pokutniczemu, za tajemniczą moc „cudotwórczości” — za świętość, współżycie duchowe z bogami, za jednanie się z nieskończonością.

Już przed wystąpieniem na scenie literatury europejskiej słynnego pisarza hinduskiego, Rabindranata Tagore, wieści z „kraju cudów” przenikały do zmaterializowanej, praktycznej Europy. Ostatnimi jednak laty zainteresowanie wzrosło. Powierzchność i dekoracja, oraz rozbudzona namiętność widza europejskiego do tajemniczości, a przede wszystkim może z głębi zmęczonej hałsami wojny psychiki płynąca potrzeba zanurzenia się w oszołamiającej kąpieli narkotyku wschodniego i zapomnienia przytłaczającej rzeczywistości powojennej — wywołują bezkrytyczny zachwyt i zdumienie wobec cudów i cudotwórczości fakirów i jogów.

Przyjrzyjmy się owym „cudom i cudotwórcom” możliwie obiektywnie.

Yogowie i fakirzy — to niby wielcy jubilerzy i mali uliczni sprzedawcy szlifowanych, błyszczących szkielek; to „poświęceni”, szanujący się pokutnicy i zbierający chciwie grosze, zręczni kuglarze.

Pierwsi dochodzą do godności „cudotwórców” przez uciążliwe i długotrwałe ćwiczenia, oddalenie się od świata złądy i, jak powiada nauka brahmanów, przez złączenie duszy swojej z duchem wszechświata. Drudzy uczą się tylko popularnych sztuczek, polegających na zręcznym oszustwie, pomagając sobie w tym procederze hipnotyzmem, sugestią lub medjumizmem i osłaniając się autorytetem „cudu”, unosząc się, jak ciężki opar ponad tym krajem.

Podział ten znakomicie ułatwia wykład praktyk religijnych w „Nauce Yogi”, która dzieli się na Hatha - Yogę i Raya - Yogę. Ćwiczenia pierwszej dążą przede wszystkim do osiągnięcia nadzwyczajnych magicznych zdolności, zadaniem drugiej natomiast jest uwolnienie adepta od dokuczliwych więzów świata złądy oraz złączenia z boską Prasidą.

Dlatego też prawdziwy jogi posiada większą „wiedzę cudotwórczą”, niż przeciętny fakir, ale cudów nie czyni, nie popularyzuje się, o ile w grę nie wchodzi misjonarska potrzeba ratowania duszy zbłąkanej.

Tak wygląda podział na jogów i fakirów teoretycznie. Życie wytwarza jednak typy pośrednie. Caesar Baudi v. Vesme twierdzi, że są oni uczniami szkoły tajemnej, posiadającej trzy stopnie wtajemniczenia: do pierwszego stopnia należą „Grihastos”, pośre-

dnicy pomiędzy ludem a stanem kapłańskim, drugi stopień obejmuje zaklinaczy duchów i wróżbitów; wreszcie godność trzeciego stopnia piastują t. zw. „Samnyassinirvani”, nie mający bezpośredniej styczności z ludem i wiodący życie ściśle pustelnicze. Podział ten jednak więcej jest przypuszczeniem autora, niż odpowiada rzeczywistości. Jak w każdym zawodzie, tak i w tym — są majstrowie i partacze, a w zależności od osobistych cech charakteru — ludzie uczciwi i szalbierze.

Fakirzy posiadają przy sobie tylko czarki gruszkowate lub woreczki na jałmużnę. Całe ich uzbrojenie fachowe przedstawia pałeczka bambusowa z siedmioma sęczkami (symboliczna pałeczka kuglarza na pierwszej karcie staroegipskiego „Tarota”).

Trudne byłoby i zgoła zbyt liczne wyliczanie na tem miejscu demonstrowanych przez fakirów sztuk kuglarskich. Za podkład więc do naszych krytycznych obserwacji weźmiemy zjawiska najbardziej charakterystyczne, najczęściej spotykane i stanowiące poniekąd o nieprzeciętnej mocy, a stąd płynącej sławie fakirów.

Z szeregu sztuk, praktykowanych przez fakirów, zasługują na podkreślenie następujące: cud drzewka Mango, cud z powrozem, pogrzebanie żywcem, materjalizacje, dematerjalizacje, jasnowidzenie, powstawanie zagadkowych dźwięków instrumentowych, lewitacje przedmiotów i samych fakirów, przechodzenie przez ogień i odporność na obrażenia zewnętrzne.

Przyjrzyjmy się ważniejszym z tych zjawisk, aby potem możliwie zbliżyć się do ich istoty.

Cud drzewka Mango, według sprawozdania konsula francuskiego, Jaccolliota, oraz innych podróżników i badaczy, polega na tem, że fakir powoduje natychmiastowe wyrastanie rośliny z ziarna. Ziarno naznaczone w naszym wypadku Jaccolliot oraz wybiera naczynie do jego posiania, ziemia zaś musi pochodzić z kopca pewnego gatunku mrówek, dość często spotykanych w Indjach, a nasycających tę ziemię kleistą, podobną do mleka cieczką, która pozwala na budowanie kopców, dochodzących do 10 m. wysokości. Fakir zwilża ziemię wodą i, wyciągając ramiona ponad doniczką, mruczy swoje *mantram* (specjalna modlitwa). Do przy-



Zaklinacz węży z Benares

gotowanej tak doniczki z ziemią wkłada następnie ziarno, wtyka swoją siedmiosękową pałeczkę i na niej zawiesza białe, podane mu prześcieradło. Wyciągając znów ponad doniczką ręce, eksperymentator zapada powoli w stan kataleptyczny, z którego budzi się po dwóch godzinach i unosi prześcieradło. W tym czasie w doniczce wyrosła roślina wysokości około 20 centymetrów.

Zastanawiając się nad tem zjawiskiem, stwierdzamy: fakir otrzymał ziarno dowolnie wybrane (papay); wyrosła z niego odpowiednia roślina; ziarno było znaczone, te same znaki były na łupinie ziarna, wiszącej przy korzeniu rośliny, wyrwanej dla skontrolowania tożsamości; żadnem szalbierstwem fakir nie powodował wzrastania rośliny, gdyż w czasie przyspieszonej wegetacji znajdował się w stanie kataleptycznym, na co wskazywały przez cały czas wyciągnięte nieruchomo ponad doniczką jego ramiona; nie posiadał też przy sobie żadnych przyrządów. Wszystko zatem przemawia za dokonaniem jakiegoś... cudu.

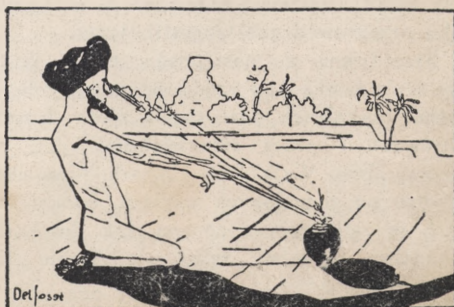
Na temat cudu „przyspieszonego wzrastania” istnieje wiele demaskujących opowieści, z których przytaczamy charakterystyczne obserwacje, poczynione przez Karola Hagemana w Benares. Wyjaśnił on mianowicie, że w wielu demonstracjach cudu Mango nie wyrastała roślina Mango, lecz podsuwane bywało t. zw. indyjskie drzewo gu-

mowe, które da się sprasować do rozmiarów pięści dziecka. Kiedy to sprasowane drzewko zostanie zlekka wstrząśnięte, rozwija się ono, przypominając do złudzenia roślinę, o której wyprodukowanie fakirowi chodzi. Pewną ilość tych drzewek gumowych posiada kuglarz w pogotowiu i podczas zaklinań i eksperymentów podsuwa odpowiednio.

Ciekawe również odkrycie w sprawie t. zw. cudu Mango uczynił amerykański amator-prestidigitator, inżynier Dittmar, w Egipcie. Przeszukując po przedstawieniu miejsce, na którym fakir dokonywał „cudu”, znalazł w piasku jedno z zużytych już drzewek Mango. Popularni ci bowiem kuglarze pokazują swe sztuczki na płacykach piaszczystych. W piasku tym ukrywają potrzebne do sztuczek przyrządy, jak w wodzie. Znaleziony krzak mangowy był suchą gałązką drzewa mangowego. Wydrążone jej wnętrze wypełnione było małymi pasikonikami, przywiązane za tylnie nóżki. Fakir, nakrywając płachtą ziarno, z którego ma za chwilę w oczach widzów wyrosnąć roślina, wyciąga nieznacznie ukrytą w piasku mangową gałązkę i wysypuje trochę proszku przeciwko insektom. Podniecone pasikoniki opuszczają swoje kryjówki, lecz przywiązane — zatrzymują się wzdłuż gałązki, sprawiając skrzydełkami swemi wrażenie świeżych liści. W ten sposób widzowie, którzy patrzą na eksperyment z pewnej odległości, mają złudzenie niezwyklej rzeczywistości. Jak widzimy zatem, jeden i ten sam cud pokazywany jest w różnych okolicznościach i przez różnych przedstawicieli świata fakirskiego.

Przyjrzyjmy się innym nie mniej zastanawiającym „cudom”.

„Rope alimbing”, albo „cudowny powróż”



„Cud drzewka Mango”

jest nie mniej znakomitą pokazem, lub, jak nam się zdaje, sztuczką fakirską, jakkolwiek między innymi badaczami tego zjawiska Maurycy Maeterlinck dopatruje się w tem jakiejś potężnej tajemnicy.

Na publicznym placu siada sztukmistrz indyjski i podrzuca wysoko w górę zwiniętą linkę, która jakby zaczepia się gdzieś o jakiś niewidzialny hak w powietrzu i rozwija się w strunę, po lince na rozkaz fakira wspina się chłopiec, który niknie również. Po chwili fakir go wzywa, aby zszedł, chłopiec nie słucha. Wtedy rozgniewany fakir wchodzi za nim po tejsze lince z nożem w rękę. Słysząc krzyk w powietrzu i z góry spadają poszczególne członki chłopca: okrwawione nogi, ręce, głowa i t. d. Fakir zbiera je w worek, potrząsa tym workiem, mamrocząc jakieś zaklęcia i, ku zdumieniu gawiedzi, chłopiec wyskakuje z worka żywy. Co do tego cudu jednak istnieją bardzo niepewne opisy, zawsze ktoś wie o nim z opowiadań innych. Pierwsza wiadomość przedostała się do Europy w r. 1348 podana przez Ibn Batutę, który go widział na dworze emira Kortai z Khapsa (obecnie Hang-tschou-fu w Chinach). W końcu XVI wieku podał o tym cudzie sceptyczne swoje spostrzeżenia dziennikarz amerykański, piszący pod pseudonimem Ellmore (tj. sell-more, kłam więcej). Po ogłoszeniu znów tego cudu przez mało wiarogodną osobę, H. P. Bławatską („Isis unveiled”), w r. 1890 w Chicago-Times zamieszczone zostało wyczerpujące studjum dr. Hugo Schoenbrunn'a, w którym autor ten twierdzi, że wprawdzie zarówno on, jak i jego przyjaciele cud ten widzieli, jednakże klisza aparatu fotograficznego nie uchwyciła nic, prócz fakira i widzów. Spostrzeżenia te, potraktowane trzeźwo i krytycznie, pozwalają nam przypuszczać, że mamy tu do czynienia z objawami po mistrzowsku przeprowadzonej sugestji tłumu.

Przejdziemy do następnego „cudu”, który należy poniekąd do rzędu ceremonij religijnych, jakkolwiek dość często bywa demonstrowany i przez sztukmistrzów. Jest to t. zw. „Five Walk”, czyli nieszkodliwe chodzenie po rozpalonych węglach, kamieniach i t. p. zetknięcia z ogniem, jak dotykanie rozpalonych sztab żelaznych, branie ich w usta i t. d.

Oto co opisuje sędzia indyjski, Babu Prankumar Ghose: uczniowie świętego wykopal-

dół długości czterech metrów, zgromadzili tam wielką ilość paliwa i rozniecili ogień. Kiedy żar był już tak silny, że nie można było doń przystąpić, zjawił się fakir, stał przez chwilę, fascynująco patrząc na ogień i następnie nago wszedł w buchające płomienie. Zdawało się, że ciało jego zostanie natychmiast zżarte przez straszny żywioł, ale fakir kilkakrotnie przeszedł przez ognisko i wyszedł zeń bez najmniejszych śladów oparzenia. Wkrótce potem uczniowie jego uczynili to samo. Następnie zostali zaproszeni do wykonania tej mniej przechadzki widzowie. O dziwo! znaleźli się przeciw wśród nich tak ufający i fanatyczni Europejczycy, którzy zgodzili się na propozycję, a po obnalezieniu swych ciał, dotknięci przez fakira ręką, poculi w sobie według słów ich, nieokreśloną radość i wyraźną chęć wejścia w ogień. Jakoż niebawem spacerowali, podobnie jak fakir, jakkolwiek jeszcze przed chwilą nie mogli znieść żaru, znajdując się w przyzwoitej odległości od ogniska.

Istnieje bardzo wiele potwierdzeń tego eksperymentu, a niektórym z nich trudno odmówić wiarygodności. Tak np. pułkownik Gudgeon, rezydent angielski w Raratunga (Hervey — Archipel) opisuje w czasopiśmie Polinezyjskiego Towarzystwa w zeszytach marcowym r. 1899 z całą dokładnością pewne święto, połączone z ceremonją przejścia przez ogień („Umi-Ti”), w którym na żądanie kapłana Tahongo brał udział wraz z przyjaciółmi swymi, dr. W. Craigem, dr. Grzegorzem Craigem i Mr. Goodwinem. Wszyscy wyszli z tej próby ogniowej cało, z wyjątkiem jednego z nich, który odwrócił się na zawołanie i uległ poparzeniu.

Na pierwszy plan przy badaniu tych eksperymentów z ogniem występuje sprawa utraty czucia, a następnie i sprawa osłabionej siły ognia. Nie są to bowiem już halucynacje, sugestje i t. p. figle sztukmistrzów, lecz fakty rzeczywiste, zbadane i przypuszczalnie polegające na obniżeniu nieznana nam bliżej drogą — wrażliwości na ból.

Ta sprawa braku czucia wiąże się najwidoczniej z temiż objawami przy wielkich obrażeniach traumatycznych, że wspomnimy tu o przebijaniu ciała sztyletami bez zostawiania ran, lub o rozpruwaniu brzucha, wydobyciu jelit nazewnątrz, wkładaniu ich zpowrotem bez widocznych po tej operacji zmian naskórka.

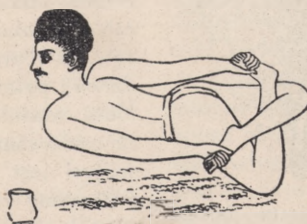


„Neti” — przez
ocyszczenie
nosa drogą
przeciągania
sznurka do
jamy ustnej —
osiąga się
siłę cudo-
twórczą

„Manduki-
mudża po-
legająca na
optykanu
końcem języ-
ka podnieb-
nia. Zach-
wuje stale
czarny kolor
włosów



„Ustrasona” — sposób sie-
dzenia zwany „wielbłą-
dzim”



Oto, co opisuje o tym niewiarogodnym wprost fakcie samoudręczenia pater Huc, misjonarz, w swych „Souvenirs d'un voyage dans la Chine et la Tartaria pendant les années 1844, 1845, 1846”.

„Pewien Lama, który miał sobie własnoręcznie rozpruć brzuch, przygotował się do obrządku w ciągu licznych dni przez posty i modlitwę. Nie miał on prawa w tym czasie obcować z ludźmi, ani mówić wogóle. Kiedy nadzedł dzień obrządku, liczny tłum pielgrzymów zgromadził się na podwórzu świątyni. Delikwent powoli wkracza w uczynione koło, a podczas, gdy tłum wydaje podniecające okrzyki, co czynią też i inni asystujący obrządkowi lamowie, ofiarnik powoli zapada w jakiś dziwny stan konwulsyjny. Lamowie wprost wyją, a w ślad za tem delikwent zrywa pas, chwytając „święty” nóż i rozpruwa sobie brzuch. Krew tryska, tłum ciśnie się, aby zamoczyć w niej palce i zadać jakieś pytanie lamie, który, jak wyrocznia, udziela odpowiedzi. Kiedy tłum już został zadowolony, lamowie znów zaczynają swoje modlitwy, delikwent macza prawą dłoń we krwi, zwilża nią swe usta, trzy razy na nią chucha, a obryzgując wreszcie tłum, wywołuje znów przeraźliwy lament. Teraz z kolei dotyka ręką rany i rana znika.

Te potworne obrzędy nie należą do rzadkości w Tybecie. Wyżsi duchowni tybetańscy, zapytywani o ich wyjaśnienie, tłumaczyli, że są to poniekąd, zdaniem ich, spra-

wy djabelskie, operacje czarnej magji, któremi się brzydzą.

Przejdźmy z kolei do omówienia pewnego tajemniczego fenomenu, zwanego „pogrzebaniem żywcem”.

Oto jeden z licznych tego rodzaju obserwowanych eksperymentów. W Amritsar pewnego razu zgłosił się u Runjith-Singh w Derbar czterdziestoletni fakir Haridas, który wyraził chęć zostania pogrzebanym żywcem, aby po 40-tu dniach zmartwychwstać. Runjith-Singh zgodził się na tę propozycję i polecił w tym celu zbudować na płaszczyźnie pomiędzy fortecą a Amritsar solidny domek z jednym wejściem.

Przygotowanie fakira do pogrzebania żywcem trwało 20 dni, podczas których pił tylko mleko, stosując jednocześnie środki czyszczące w takiej ilości, żeby nic nie pozostawało w jelitach. Przy ceremonji asystowali wszyscy dostojnicy dworu Derbar. Fakir pozalepiał sobie wszystkie otwory ciała woskiem i ustami zaczął wciągać oddech do wnętrza. Po kilkakrotnem tego rodzaju odetchnięciu, padł i leżał z zamkniętymi oczami jak trup. Wszystkie objawy trupa stały się widoczne, tylko czubek głowy był niebywale gorący i tam tylko pulsowała z wielkiem nateżeniem krew.

Włożono fakira do trumny, przymocowano wieko i zaniesiono go do domu, w którym przygotowany był zawczasu grób. Na trumnę położono deski, zasypiano ją ziemią, zrównano powierzchnię mogiły oraz posiano pszenicę i ryż. Drzwi domu zamknięto dwo-



Fakir Haridos, który po czterdziestu dniach spędzonych w grobie powrócił do życia

ma kluczami, z których jeden wziął skarbnik dworu, drugi generał Ventura. Od czasu do czasu w obecności Runjit'a kontrolowano stan grobu, do którego przystęp wszystkim najsurowiej był wzbroniony.

Nadszedł dzień 40-ty. Odkopano mogiłę, otwarto trumnę i znaleziono fakira w stanie, w jakim był pochowany. Służący jego zabrali się natychmiast do obudzenia swego pana. Upiekl według zwyczaju miejscowego placek i, wyjąwszy go wprost z pieca, położył na czubek głowy fakira. Następnie służący zaczął rozcierać członki fakira i otworzył woskiem zatkanne otwory. Po chwili delikwent rozwarł oczy, objaw ten był jednak raczej odruchem, pozbawionym cech świadomości. Przygotowano gorącą kąpiel. Podczas dalszego rozcierania fakir powoli wracał do życia, wreszcie wstał.

Eksperyment ten, godny głębszego zastanowienia się nad nim, o ileż jest wyrazistszy w swej dostojności i prawdziwej tajemnicy. Fakirzy twierdzą, że taki stan quasi — śmierci odmładza organizm, regeneruje nadwężone komórki i przedłuża życie.

Jak wnosić można z licznych opisów tego eksperymentu, poddają mu się tylko fakirzy, należący do wyższej hierarchji.

W jaki sposób ciało może istnieć przez tak długi czas bez dostępu powietrza? Otóż badacze tego faktu przypuszczają, że pewne minimum powietrza, potrzebne do oddychania uśpionego organizmu, przedostać się zawsze może przez porowatą powłokę świeżej mogiły i komunikacja ta, jak wiadomo z badań nad powierzchnią gleby, ustala się w miarę postępu czasu.

Poza tem natura dostarcza nam pewnego rozwiązania przez analogję snu zimowego niektórych zwierząt, nie mówiąc już o roślinach. Wprawdzie niektóre ssaki, obywając się przez zimę bez pożywienia, niepozbawione są dostępu powietrza, jednak płazy i inne wodne stworzenia, powtarzające na sobie z roku na rok ten cud „pogrzebania żywcem”, przecież nie obudzają w nas podziwu i pytania, w jaki sposób to się dzieje? Może właśnie raczej należałoby przypuścić, że pozbawienie powietrza podczas tej quasi — śmierci jest celowe. Przypuszczenie to, jak zobaczymy potem, bardziej zgodne jest z praktykami, za których pomocą jogowie przygotowują się do swoich „cudów”.

Analogiczne zjawiska zdarzają się również wśród ludzi, którzy pogrzebani przez niedopatrzenie, powstać mogą z grobów po przetrwaniu snu letargicznego, o ile ich nie przysypano ziemią. Zjawiska śmierci w tym wypadku powodowane są stanem potwornej świadomości.

Niewątpliwie tkwi w tem tajemnica, ale nie tajemnica jakiegoś cudu, lecz tajemnica fizjologiczna, dla której wejścia w świat ustatyzowanej wiedzy nadejdzie może niebawem szczęśliwa chwila.

Mamy przed sobą alternatywę: albo cuda fakirów leżą w sferze naturalnych możliwości, tj. nie przeczą prawom natury i jako takie mogą być zrozumiane przez dokładne ich studjowanie, albo są to mniej lub więcej udatne mistyfikacje.

Szukajmy zatem analogji. Zgóry możemy powiedzieć, że nie znajdziemy analogji dla wszystkich „cudów” fakirów. Nie widzimy więc jej przedewszystkiem dla przyspieszonego wstania.

Badania dokonywane nad gorącokrwistymi i zimnokrwistymi zwierzętami prowadzą jednak do ciekawych wniosków. Tak np. fizjolog Bachmetjew zamrażał zupełnie do stwardnienia szczury i koty i po odmarznięciu

przy zastosowaniu specjalnych ostrożności, żyły one tak, jak i inni ich współbracia. Nie są to jeszcze fakty analogiczne z pozorną śmiercią fakirów, gdyż ci nie podlegali zamrażaniu. Ale fakt przerwania objawowego życia i tu i tam jest jednakowy, a więc ma poważne znaczenie dla zachwiania dotychczasowego naszego przekonania, że życie przestaje istnieć całkowicie z chwilą przerwania działalności serca, oddechu i przemiany materji — widocznych dla człowieka objawów życia.

Przytoczone powyżej eksperymenty pozwalają wnioskować o istnieniu jakiejś siły bliżej nam nieznannej, która wywołuje działaniem swem odporność tkanki organicznej na procesy rozkładu.

Przyjrzyjmy się tym doświadczeniom, aby na podstawie ich wysnuć wprawdzie daleko idące, ale niepozbawione dostatecznej racji wnioski, dotyczące „cudów” indyjskich fakirów.

Chodzi tu o zdolność sterylizowania i mumifikowania, badane przez dr. Clarac, chemika dr. Llaguet, dr. Geley'a, dr. Gastona Durville, a polegające na tem, że pani X. przez wyciągnięcie rąk swych nad jakimś pozba-

wionym życia organizmem, zabezpieczała go od rozkładu. Organy takie, jak serce, nerki, wątroba, śledziona i t. p., nie tylko nie ulegały rozkładowi pod działaniem nieznanego fluidu, płynącego z rąk p. X., ale doprowadzone były do stanu wysuszenia, a krew w ciągu 23-miu dni nie ścinała się i przy mikroskopijnem badaniu wykazywała doskonale zachowane ciałka krwi. Takie własności sterylizujące dr. Durville odkrył nie tylko u siebie, ale i u innych osób. Czyżby więc podobny fluid nie mógł zabezpieczyć naskórka fakirów od ran, oparzeń i gnicia?

Z tego, cośmy tu przytoczyli, widzimy, że są to nie „cuda”, tj. rzeczy nadnaturalne, ale zjawiska leżące w sferze możliwości, zjawiska wprawdzie rzadko spotykane, ale bądź co bądź zjawiska, do których człowiek nauki może się zbliżyć z przyrządem, pozwalającym kontrolować je obiektywnie i wywoływać na żądanie. Na taką opinię natomiast nie zasługuje eksperyment fakirski z linką. Jest to najwyraźniejsza sztuczka, polegająca na sugestjowaniu widza.

Przyjrzyjmy się wreszcie metodom przygotowania się fakirów do tej „cudotwórczości”.

Pomijając nauki etyczno-filozoficzne, adep-



Fakir indyjski „cudotwórca” — pogrzebany głową w piasku



„Samkatasana”
nogi złożone
w tyle, obie dło-
nie na kolanach
(za'eca się dla
wyrobień
równowag!)



„Jalandhara” —
zachowanie tej
pozycji w ciągu
6-ciu mie ięcy
daje nieśmiertel-
ność i doskona-
łość yoga. (Cóż,
kiedy w ciągu
tygodnia w tej
pozycji przecięt-
ny śmiertelnik
mógłby już
umrzeć!)

ci bardziej usposobieni materialistycznie, przynajmniej na początku swej kariery, usiłują osiągnąć tę doskonałość drogą poniekąd fizyczną, tj. postami, ascezą, umartwieniem ciała i t. p. Podstawą jednak tego wyszkolenia fizycznego jest system wydychania i wdychania „prany”, przy zachowaniu określonej dla każdego wypadku pozycji ciała. Dech, czy tchnienie jest zasadą życia, samem życiem widzianem jako symbol Brahmy. Wraz z powietrzem wpływają do wszystkich części ciała w postaci eteru podstawowe siły natury i krążą po rurkowatych naczyniach (nadi), które wychodzą z pępka, a których owa spekulacyjna anatomja indyjska nalicza 72 000. Inni twierdzą wprawdzie, że jest ich 727,210,201 i biorą one swe źródło nie w pępku, lecz w sercu. Naczynia te stwarzają sieć, zwaną *padmā* albo *kaśala* („łotos”), która jest centralą czynności fizjologicznych. W systemie tym znajdują się też centra dla sił moralnych i intelektualnych. Na tej podstawie opiera się wielka nauka o dowolnem regulowaniu i kierowaniu biegu tchnienia życiowego i o możliwem uniezależnieniu ducha od wpływów ciała. Praktyki, wykonywane w zależności od tej nauki, zdążają do odwrócenia ducha od otoczenia przez wytworzenie stanu samohipnotyzmu lub pewnego rodzaju transu. Tak tedy yogowie, oddający się tym ćwiczeniom, usiłują na pewien czas powstrzymać lub chociażby ograniczyć oddychanie przez specjalne wdychanie i wydychanie już to przez jedną, już to przez drugą dziurkę nosa przy zachowaniu

84 sposobów ułożenia swego ciała i nieustannem powtarzaniu sylaby świętej OM. Ćwiczeniom tym towarzyszy uporczywe skoncentrowanie procesu myślenia na — złotym, wszechmocnym, nietykalnym Nim, którego imię jest OM.

Praktyki te prowadzą do stanu ekstazy, czyli transu. Tą drogą osiągają też yogowie moc czynienia „cudów”.

To też jeden z współczesnych nam hipnotyzerów hinduskich, Vairogyanda, pisze „Wszystkie te cuda fakirów dadzą się sprowadzić do faktu, że operator w powyższy sposób wyszkolił wolę swoją i był w stanie publiczności, przyglądającej się mu z powstrzymanym oddechem, zasugerować widzenie niezwykłych zjawisk”. Okoliczność, że przy wykonywaniu sztuk kuglarskich publiczność składała się z poszczególnych jednostek, które to samo myślą i tego samego czekają, wytwarza potężny prąd psychozy, w znacznej mierze ułatwiającej pracę fakirem.

Jakkolwiek jest owo przygotowanie yogów i fakirów, trudno jest przesądzać, czy chociażby w niektórych wypadkach nie staje się ono pomocne w praktykach „cudotwórczych”.

Wnioskując więc o tem wszystkim, starajmy się być rozsądni i wyrozumiali, lecz nie przesądni i zarozumiali. Jest w tem bowiem pewna doza nieznannej bliżej prawdy, ubranej jednak w zabobon i oszustwo tak precyzyjne, że istotnego jej oblicza długo może jeszcze szukać będzie musiała nauka.

Radjokultura nad jeziorem Czad



Potężny władca plemienia Niam-Niam ma już dość swoich „rewellers’ów”. Słucha teraz...
Kiepurę przez znakomitą ekradybę Marconiego

Dziwolągi wśród okrętów

Klasyczna forma okrętów zdaje się być ustalona od szeregu stuleci w głównych swych liniach.

Forma ta objawia się tak dobrze na egipskich freskach, kryjących ściany pomników, jak i na sztychach z czasów Ludwików, lub na doskonałych ilustracjach epoki współczesnej nam.

Nie przeszkadza to, oczywiście, mniej lub więcej udatnym wynalazcom zrobić odskok od przyjętej i uświęconej tradycją zasady — stwarzając projekty lub modele statków zgoła rewolucyjne w znaczeniu konstrukcji.

W r. 1903 np. oficer marynarki francuskiej M. Ture zaproponował nowy typ okrętu nie kołyszącego się zupełnie. Zasada budowy polegała na tem, że okręt miał okres wahanja znacznie dłuższy od okresu fali.

Znane jest zresztą analogiczne zjawisko, zachodzące przy długich kadłubach okrętowych: wahanja okresowe drobnych fal, przykre dla małego statku, są niewyczuwalne dla dużych okrętów.

Wspomniany wynalazca wykorzystał to spostrzeżenie i, przyjąwszy, że wahnięcia fal rzadko mają okres dłuższy od 15 sekund, zmusił swój okręt do wykonywania wahnięć o okresie 22 sekund. Okręt ten składał się z korpusu, zupełnie zanurzonego w wodzie i z dwóch pływaków, podtrzymujących nad poziomem wody platformę, na której znajdowały się kabiny pasażerskie. Napęd miał być skuteczniejszy zapomocą turbiny o mocy 16000 koni. Projekt ten nigdy nie był urzeczywistniony.

Podobne mniej więcej zamiary posiadał konstruktor jachtu „Livadia” spuszczonego na wodę w r. 1880 w Glasgow, na rachunek cara Aleksandra II-go. Plany tego statku były wykonane przez Holendra, dr. Tiedeman'a, do spółki z admirałem Popowem, w sposób conajmniej oryginalny. Boki statku były bowiem formy owalno - romboidalnej, przyczem szerokość jego była prawie równa długości.

Niezwykła budowa statku miała właśnie na celu usunięcie kołysania się. Czy cel był

osiągnięty, i czy car mógł rozkoszować się bezkarnie przejażdżką po morzu — historia milczy o tem. Wiadomo tylko, że Aleksander II mało jeździł po morzu, i że okręt typu „Livadia” nie był nigdy powtórzony.

Smutniej przedstawiała się sprawa ze „statkiem na zawiasach”, datującym się z roku 1863. Wynalazca poprostu podzielił swój statek na trzy części, złączone ze sobą w sposób ruchomy. Miało to doprowadzić do ułożenia się linii statku według formy fali. Niewiadomo, czy był kiedy zbudowany próbny statek wedle jego planów, wiadomo jednak z pewnością, że zostałby on niechybnie rozdzielony przez fale na części, bez względu na wytrzymałość połączeń.

Poważną myślą był projekt inżyniera Bazin w r. 1895. Było to coś zgoła nowego i zarazem zachęcającego. Bazin bowiem odstąpił od zasady zwykłego poruszania okrętów zapomocą ślizgania się, a zastąpił ostatnie ruchem obrotowym. System jego polegał na zastosowaniu ogromnych kół pustych, czyli pływaków okrągłych, podtrzymujących platformę, na której mogły być ustawione maszyny i kabiny.

Sruba, umieszczona między kołami, nadawała statkowi ruch postępowy, a koła były obracane przez specjalną maszynę.

Teoretycznie projekt Bazin'a był bez zarzutu. W r. 1894 utworzyło się Towarzystwo, mające na celu eksploatację tego wynalazku.

Jedna ze stoczni francuskich podjęła się budowy jego.

Próby wykonane z tym statkiem w porcie Havre'u dały opłakane rezultaty: nie można było ani regulować ruchu pływaków, ani skoordynować ich działania.

Do pomysłów fantastycznych pod względem technicznym należała „cytadela pływająca”, zaopatrzona w siedem wiatraków, które miały napędzać tyleż kół łopatkowych, i uzbrojone od stóp do głów.

Projekt ten został przedstawiony francuskiemu Dyrektorjatowi, który, naturalnie, z niego nie skorzystał.

Z. K.

W Quartier Latin

Napisała:

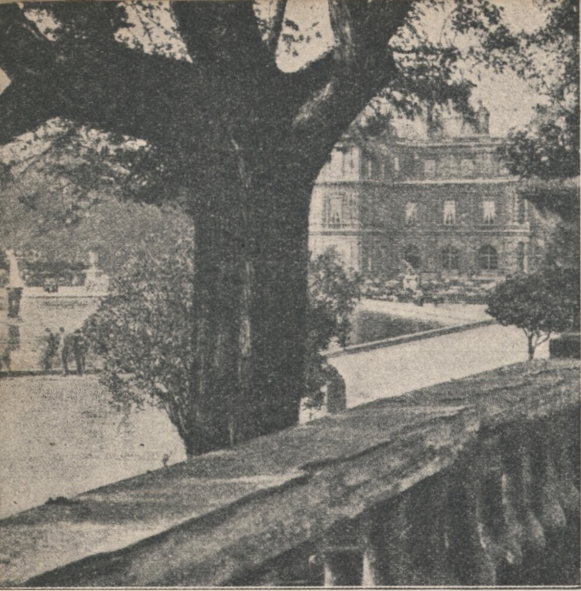
Wanda Tyszkowa

Wejście do muzeum
Cluny (wprost Sorbony)

Kościół St. Etienne
du Mont



Właściwego swego wyglądu nabiera Quartier Latin w początkach listopada z chwilą rozpoczęcia się roku akademickiego. Ruchliwy tłum wszelkich narodowości i ras napętnia małe uliczki, biegnące od bulwarów Saint Germain i Saint Michel. Różnokolorowe płyty afiszów ogłaszają nieskończoną ilość kursów, konferencji, lekcji francuskiego dla cudzoziemców. Restauracje wystawiają w witrynach ponętnie tanie ceny obiadów. Na stołach przed każdą księgarnią — stosy popularnych słowników dla użytku nowoprzybyłych. Biorę do ręki polsko-francuski. Nieprawdopodobne odkrycia! Na każdej prawie stronie roi się od nieznanych mi neologizmów i oryginalnych form gramatycznych. Dowiaduję się, że „rêveur” odpowiada polskiemu „śniarz”, że „antipodes”



Ogród Luksemburski

to „przeciwnogowcy” i... tak na każdej stronie.

Wszyscy dążą do potężnego gmachu Sorbony. Cichy w ciągu lata podwórzec, amfiteatry, sale, biura napętniają się tym specjalnym, dziwnym gwarem, który przy dłuższym wsłuchaniu się ma wszelkie formalne cechy języka francuskiego. W istocie zaś łącząc w sobie śpiewną wymowę Rosjan, nie-

Fontanna Carpeaux w ogrodach Obserwatorium



prawdopodobne akcenty Amerykanów, śmieszne „sze” Niemców, dziwną, szeroką Japończyków, przetwarza język francuski w jakieś oryginalne studenckie „esperanto”.

Dwie nowicjuszki rozmawiają długo i mierznie w tym języku, aby sobie wreszcie wyznać, że... „nie są Francuzkami” a na końcu porozumieć się, że — należą do jednej narodowości! Francuza nie tak łatwo znaleźć w tej wieży Babel! I tu natomiast królują Francuzki. W literaturze często się mówi o uroku Słowian, działającym na Paryżanki — rzeczywistość przynajmniej w ramie tych znajomości i zbliżeń, które zawiązują się między jednym a drugim wykładem na Sorbonie, zdaje się wskazywać, że pociąga je raczej o wiele dalszy Wschód. Najwięcej uśmiechów i spojrzeń krąży koło spokojnych, tajemniczych przedstawicieli rasy żółtej. Wśród gestykulujących, głośnych Europejczyków i Amerykanów, Japończycy wyglądają, jak żyjące posągi swych bogów: cisi, z dziwnymi nieruchomymi oczami w bezręcznych powiekach przynoszą z sobą atmosferę jakiejś nieznaney nam zupełnie, a pełnej treści kultury.

Na Sorbonie niema zupełnie tego specjalnego typu nowych przybyszów, spotykanych u nas z początkiem każdego roku, którzy czują się nieswojo, siedzą sztywno na ławkach w oczekiwaniu profesora, albo starają się gorączkowo o nawiązanie nowych stosunków, aby zdusić przykre uczucie osamotnienia wśród nowych warunków.

Każdego tu widać przenika atmosfera właściwa całemu paryskiemu „Cosmopolis” beztroskiej pogody, każdy z poczucia obcości w stosunku do innych czerpie jedynie miłe przekonanie o własnej niezależności i swobodzie!

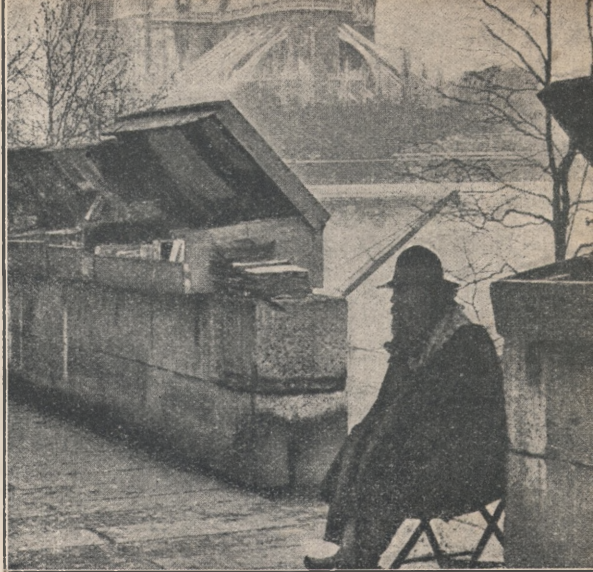
Zresztą panuje tu naprawdę swoboda czasem niezrozumiała dla nas: w czasie wykładów przez cicho otwierające się drzwi snują się nieustannie wchodzący i wychodzący słuchacze, którzy chcą w ciągu jednej godziny wypróbować elokwencję kilku wykładowców. I trzeba podziwiać filozoficzny spokój profesorów, rozwijających z niezmi-

na uprzejmością swe myśli, mimo nieustannego szmeru i niepokoju w ostatnich rzędach.

Około godziny 12-tej Sorbona się opróżnia. Wysypujący się z niej tłum dąży do niezliczonych tanich restauracji „Quartier”.

Obok najliczniejszych francuskich, są dwie polskie, są rosyjskie, żydowskie, amerykańskie i japońskie. Każdą między 12-tą a 2-gą napęłniają szczelnie stołownice, między którymi miotają się gorączkowo kelnerzy, wykrzykując nazwy potraw, niesionych na talerzach jeden na drugim na wyciągniętym ramieniu. Nowe tłumy napływają ciągle. Wrzaskliwe pytania usługujących: „Que désirez-vous Messieurs Dames?... Comme boisson? Pas de boisson! Du vin rouge?” odpowiedzi gości, rozmowy, stuki krzeseł, talerzy, noży, dopominanie się o miejsca, trzask nieustannie otwieranych i zamykanych drzwi tworzy razem niemożliwy do zniesienia hałas. Ale to wszystko trwa niezmiennie krótko. Około godziny 2 i pół w tej samej restauracji najzupełniejsza cisza: na opuszczonych stolikach ani śladu potraw, tylko gdzieś na końcu sali grupa kelnerów spokojnie spożywa zasłużony posiłek.

W jednej tylko restauracji można znaleźć o każdej porze przyjemną ciszę i dyskretny spokój: w japońskiej. I tu wszystkie stoliki zajęte, ale skończoność biesiadnicy rozmawiają łagodnym półgłosem i podnoszą do ust bez szelestu swe czarne pałeczki. Na każdym stole stoi pośrodku wazka ryżu, który jest tak jak chleb w innych restauracjach „à discretion” i druga — jasnej, wonej herbaty. Nakrycie — to dwie czarne pałeczki, czarka do ryżu i mały kubeczek do herbaty. Zamiast hałaśliwego usługującego francuskiego, tutaj wyrasta, jak z pod ziemi, mały, żółty człowieczek i pyta — uśmiechem tylko. Proszę o jedną z potraw, ale okazuje się, że należy wymienić jedynie cyfrę postawioną na karcie obok każdego dania. Wybieram na chybił-trafił „3” i „6” i dostaję dwa talerze jakichś, drobnutko pokrajanych, jarzyn. Obserwując sąsiadów, nakładam owe potrawy kolejno do czarki, mieszam z ryżem i... proszę o widelec, nie mając odwagi użyć



Stary antykwaryusz

pałeczek. Zresztą nie pięknie się tu niemi posługują: mój żółty sąsiad trzyma swoją czarkę bardzo blisko ust i, przechylając trochę głowę, boki ust chwyta prędko ryż zgarniany pałeczką z jej wnętrza.

Wieczorem „Quartier” ucicha. Ci, co chcą się bawić, wywędrowują na wesoły Montparnasse, lub jadą na prawy brzeg do słynnych Music-Hall'ów Montmartru czy Clichy. Reszta

*Pałac sprawiedliwości i wybrzeże
kwiatowe*





Sorbona

pracuje w bibliotekach, biegnie na lekcje lub „wymienia konwersację”. Łatwe to bardzo dla Anglików i Niemców; Włosi, Hiszpanie a nawet Japończycy również znajdują amatorów — dla nas zdawałoby się bardzo trudne. A jednak mam przed sobą list nieznajomego Francuza, który pisze skierowa-

ny przez „Amis de la Pologne”: „Ja jestem bardzo szczęśliwy, że po polsku mogę uczyć się. Już byłem w Polsce, ale niemożliwe było uczyć się, bo wszyscy Polacy mówią po francusku. Naturalnie chcę powrócić tam, ale chcę móc rozmawiać i pisać lepiej jak teraz”.



Aleja książek



Napisała:

Halina Izdebska

powiadanie gracza.

Ilustr. J. Kühn

Przez długi czas grałem w karty, jak wszyscy inni: przez zamiłowanie do samego procesu gry, przez ciekawość dyletanta, może dla dreszczu, który odczuwamy, gdy, podnosząc kartę, szybujemy sekundę jedną wśród olbrzymiej bezimiennej Nadziei... Aż do — owego spotkania. Nigdy państwu o tem nie opowiadałem?

Pewnego razu, w klubie, graliśmy w „Chemin de fer”. Bank trzymałem ja. W puli jest pięćset złotych, potem tysiąc, nareszcie dwa tysiące. Chcę skończyć, wyciągam rękę po tę sumę. Tymczasem jakiś stanowczy głos za mną odzywa się: „Jeszcze jeden raz!” Oglądam się: za mną stoi młody człowiek... słowem, taki właśnie, jakich opisują w podrzędnych powieściłach, — brunet, starannie wygolony, o dosyć nieprzyjemnym „mefistofelesowskim” typie.

Wicie Państwo, jak mi się zawsze trudno oprzeć cudzej woli; rozdałem więc karty raz jeszcze. W banku jest już cztery tysiące złotych.

„Dosyć!” rozkazał nieznajomy.

Wkładałem pieniądze do kieszeni i wstaję, a on tymczasem, siadając na moim miejscu, zwraca się do pozostałych:

„Grać będę tylko pół godziny i odejdę, ograwszy was wszystkich”. I tak się istotnie stało.

W kilka dni później (zgrałem się właśnie do ostatniego grosza i byłem, oczywiście, w nastroju wprost zabójczym), podchodzi do mnie ten sam gracz:

„A, to pan! Zagramy partyjkę, dobrze?”

Zmieszany nieco, odpowiadam melancholijnie:

„Kiedy, proszę pana. zgrałem się właśnie, jak to mówią, do nitki!”

— „Cóż to szkodzi? Ileż panu pożyczyć: dziesięć, dwadzieścia tysięcy?”

„Dziesięć, jeżeli pan tak łaskaw”, odpowiadam, trochę oszołomiony.

Zaczynamy grać. Oczywiście, po upływie pół godziny, z dziesięciu tysięcy złotych nic nie pozostało. I wszyscy inni partnerzy również przegrywają.

Potem, w przeciągu kilku dni, unikałem klubu. Ale nie przestawałem myśleć o swoim nowym znajomym. Nieraz w nocy budziłem się z wrażeniem — czy ja wiem? że coś nowego zaczyna się w moim życiu. Nareszcie powracam do klubu. Spostrzegam go odrazu, zwracam mu jego dziesięć tysięcy i decyduję się zapytać go — coprawda, bez wielkiej nadziei — na czem. do licha, polega tajemnica zdumiewających wygrywań.

Nadspodziewanie, uśmiechnął się do mnie przyjaźnie.

„Chętnie to panu wytłumaczę. Tyle tylko, że nic panu z tego nie przyjdzie. Widzi pan, tyle już razy starałem się komuś wytłumaczyć i nigdy nikt....”

...coś nowego
zaczyna się
w mojem życiu...



Oto — w drobnej części, oczywiście — to, co mi powiedział:

W każdej grze talja kart posiada odrębną indywidualność: bywają talje kobiece, talje męskie, talje dziecięce; otóż chodzi o zorientowanie się co do tego i o zastosowanie się do swojego spostrzeżenia. Inna jeszcze rzecz: osoby, grające po raz pierwszy, zawsze prawie wygrywają; jakież stąd wnioszek? A taki, że, aby wygrywać, trzeba nie — wiedzieć coś, tylko właśnie — *czegoś nie wiedzieć* (i to jest potępieniem z góry wszelkiego „systemu”). Otóż gracz powinien stale zachowywać wobec kart postawę człowieka, który je widzi po raz pierwszy. Dlatego też nie jest wskazaniem zbyt wiele czasu spędzać przy zielonym stoliku. Oczywiście, dosyć trudno jest być na tyle rozsądnym, aby odejść, kiedy należy; ale można to urządzić w ten sposób, aby jeden wieczór zawierał w sobie niejako kilka wieczorów, aby wewnętrznym pożegnaniem się z klubem — i jak gdyby doń powracać...

I jeszcze coś: nie nienawidzić kart, jak wroga, którego zwalczać należy; przeciwnie, lubić je, pozostawać z nimi w ciągłym stosunku uczuciowym, tak, aby natychmiast subtelny fluid istnieć zaczynał między każdą kartą a nami...

Wreszcie tego rodzaju uwagi: kiedy się zaczyna okres „pecha”, tak dobrze graczom znany, nie starać się przewyciężyć go, pod pozorem, że „musi się przecież wkońcu karta odmienić”: trzeba przyjąć tego swojego pecha, jako fakt, nie podlegający wątpliwości, umieć schwycić w lot pierwotne postanowienie swoje — i postąpić krańcowo inaczej.

Wbrew przewidywaniom jego, skorzystałem z jego wskazówek. Wkrót-

ce grałem lepiej od niego. On sam zdawał sobie z tego sprawę, prosił, żebym go zastępował w grze, kiedy sam „jakoś ich nie czuł”.

I wtedy rozpoczęło się dla mnie jakieś dziwne irracjonalne życie, jakaś codzienna milcząca epopeja. Jakby to wyrazić? Wyobraźcie sobie, że wasze życie wkracza pewnego pięknego poranku na taśmę kinematograficzną i tam właśnie rozgrywać się zaczyna. Coś takiego stało się ze mną. Jakaś nagle zmiana płaszczyzny, o jeden wymiar więcej — czy mniej...

Przedewszystkiem, nagle zniknięcie niemożliwości pod względem czy-sto materialnym, rozciągnięcie się w nieskończoność pojęcia tego, co było dla mnie odtąd dostępne. Bo, rozumiecie państwo, są tacy ludzie, którzy z dnia na dzień zostają milionerami; ale ich miliony mogą się wyczerpać; ja zaś posiadałem *sekrety wiecznego bogactwa!* Wygrywać mogłem nie pięćdziesiąt, i nie sto razy, ale za każdym razem.

To też żona moja miała sukien, bucików, futer tyle, że już więcej pragnąć było trudno; miała ogromną srebrną skrzynkę, tak szczelnie zapelnioną kosztownościami, że przed wyjściem długie kwadransy spędzała, wybierając najodpowiedniejsze do danego stroju kolczyki, naszyjnik, pierścionie. Przypominam sobie także bransoletkę, którą zazwyczaj nosiłem w klubie i która wydawała suchy chrzęst przy każdym poruszeniu ręką:

*...w każdej grze talja kart
posiada odrębną indywidualność...*





..wygrywać mogłem nie pięćdziesiąt i nie sto razy, ale za każdym razem..

czterdzieści osiem brylantów i wielki szmaragd w środku. Przekonany jestem, że nie było ani jednej osoby, któraby wierzyła, iż wszystkie te kamienie były prawdziwe.

Nawiasem powiedziawszy, mój brak pojęcia o cenności pieniędzy datuje prawdopodobnie z tamtego okresu.

Natomiast... trafiło się, że podnosiłem wzrok na moich partnerów; i uderzał mnie wtedy, jak zdarzenie fizyczne, ten nieprzerwany łańcuch nienawiści w każdym spojrzeniu. Wkońcu urządziłem się tak, że zabierałem ze sobą zawsze do klubu moich dwóch byłych kolegów, którzy siedzieli za mną i otrzymywali każdy dwa i pół procent od mojej codziennej wygranej; rola ich ograniczała się ściśle do tego, że pragnęli szczerze — choć nie bezinteresownie, to rzecz inna — abym wygrywał, dając mi w ten sposób jakąś niezbędną kompensatę psychologiczną. I trzeba państwu powiedzieć: byli to ludzie żonaci, jeden z nich miał troje dzieci, — otóż to, co otrzymywali ode mnie, doskonale wystarczało im na utrzymanie rodziny...

Tak się rzeczy miały aż do pewnego dnia, o którym opowiem innym razem, kiedy Przeznaczenie popłatało wszystkie moje karty, zabrało mi w przeciagu tygodnia trzy najdroższe mi na świecie istoty, rzuciło na moje życie wielki welon żałobny (przeszło od tego czasu trzy lata, ale jednego dnia odtąd nie było, abym o tem nie myślał), — a wszystko dlatego, że raz jeden chciałem przezwyciężyć „pecha“, podporządkować woli swojej zawiłą grę istnienia...

1/2 CZARNEJ

Napisał:

Bronisław Stefanowski

Ilustrował: M. Walentynowicz

Wiedział dobrze, co robi, mistrz Orgelbrand, autor znakomitej encyklopedji powszechnej: słowa „kawiarnia” niema w tomie, który ma zawierać wszystkie na „k”.

Rozumiem teraz dobrze podstęp tego znakomitego obywatela: uniknął wyjaśnień tak ogólnego określenia, i poprostu pominął kawiarnię w swojej encyklopedji.

Powstała stąd lukę ma wypełnić ten elaborat; nie szukaj, naiwny czytelniku, objaśnień po encyklopedjach, tylko odżałuj dwa i pół pistola żywą gotówką, i odpowiedz nareszcie na pytanie, które ciebie w niemały wprowadzało kłopot.

Pewien prostoduszny hreczkosiej na pytanie, co to jest kawiarnia, dał odpowiedź, która jest bez wątpienia szczytem naiwności:

— Jest to miejsce, gdzie można się napić kawy!

Przypomina mi to trochę zdanie pewnego znakomitego pacyfisty, który długo się głowił nad określeniem pojęcia: wojna. Wydławił z siebie odpowiedź — i wypadła, zaiste, frapująco: Wojna jest tam — gdzie się strzela!

Co to jest kawiarnia?

Przytułek malarzy, poetów, redaktorów i innych darmozjadów. Oaza polityków, fałszerzy waluty oraz giełdziarzy. Elizeum dam z wielkiego świata i półświatka. Żerowisko plotkarzy. Rewja mody w popularnem wydaniu. Wystawa kosmetyków wszystkich firm świata. Poczekalnia dla zakochanych —

Dosyć?!

A, przepraszam, opuściłem coś:

— Jest to miejsce, gdzie się można napić kawy!

Tempora mutantur...

Dawniej czcigodny obywatel kładł cylinder na łysinę, a parasol pod pachę, szedł do cichego, półciemnego lokalu, żądał pół czarnej i wszystkich gazet, zapalał szwarcowane cygaro i pogrążał się w szczęśliwość kawiarnianą.

Gracie stukali szachami i dominem, ale nie zdarzało się nigdy, żeby ktoś kogoś stuknął w oblicze; wymyślano najprzeróżniejsze bajdy, t. zw. kawiarniane, ale — nie wymyślano sobie od ostatnich. Życie było ciche i, że tak powiem, cnotliwe.

Teraz?!!



Są rzeczy smutne: dysputa z malarzem...



— — *jeden mówi — reszta słucha* — —

Dwadzieścia lokali, jeden większy od drugiego; wszędzie ścisk, tumult, głośnie plotkowanie, strzeliste spojrzenia, cieliste półczoszki, małocieliste kurtyzany —

Gadają wszyscy razem i każdy z osobna; kilka pań pije kawę, kilkuset gentlemanów od rana „podlewa” się cock-tailami, gęsto odchodzi Vermouth i Porto.

Dyrektor zaciera tłustawe rączki: jest ruch!

W szatni zamieniają ci stale palto; z „zasady” — na gorsze. Zostawiasz futro na drażnionych oposach, z kołnierzem z warszawskiej wydry — odbierasz oryginalny, nieprzemakalny (!) płaszcz za zł. 26 i gentleman od szatni zaklina się w żywy kamień — że to twoje.

Ale to fraszka!

Dobry żart tyńfa wart, nie należy się przejmować drobiazgami, jak mówił mój

przyjaciół, gdy mu po raz szósty uciekała żona. Życie — to nie romans.

Ale zstąpmy z hymnu do prostej powieści. Ogólną odpowiedź na pytanie, co to jest kawiarnia, usiłowałem dać powyżej, uważam jednak, że czytelnikowi, który przebrnął z rozpaczą przez perypetie tego wstępu, należy się szersze i bardziej fachowe ujęcie zagadnienia.

Jednak, nie czując się sam na siłach, postanowiłem powołać w tym celu komisję; ogłosiłem konkurs na rzeczoznawców kawiarnianych i z 39.783 ofert wybrałem jedną, najbardziej godną i fachową: Marjana Walentyńwicza! Mąż ten, znany w świecie i w „Naokoło Świata”, po trzydniowym poście przystąpił do pracy z furją iście malarską; zwiedził wszystkie kawiarnie, wypił cysternę czarnej kawy i tyleż innych rosołisów, poczem, wręczwszy mi „rachunek

kosztów własnych", który bez namysłu i czytania cisnął do kosza, oświadczył gotowość przystąpienia do pracy.

Są, bez wątpienia, rzeczy bardziej smutne, niż wysłuchiwanie zwierzeń i opinii malarza, np. dysputa z tymże malarzem.

A jednak, po rozmowie, która nie trwała dłużej, niż partja bridge'a w towarzystwie stuletnich starców, ustaliliśmy pewne wytyczne w szczegółowej analizie pojęcia: kawiarnia!

A więc:

Istnieje kilka rodzajów kawiarni; zastanowimy się kolejno nad każdym i wydamy krytyczny sąd.

I. Kawiarnia „polityczno - artystyczna”. Piękny gmach w śródmieściu. Duży, europejski lokal. Gentleman w granatowej liberji zdiera z ciebie palto, poprawiasz włosy przed lustrem, mijasz mały, podłużny hall

o beznajdziejnie głębokich fotelach — i oto jesteś w kawiarni.

Godzina pierwsza po południu.

Dym z papierosów, cygar, fajek i t. p. instrumentów. Zapach perfum, pomad miesza się z innemi woniami, w których badanie ze względów zasadniczych mieszać się nie będe.

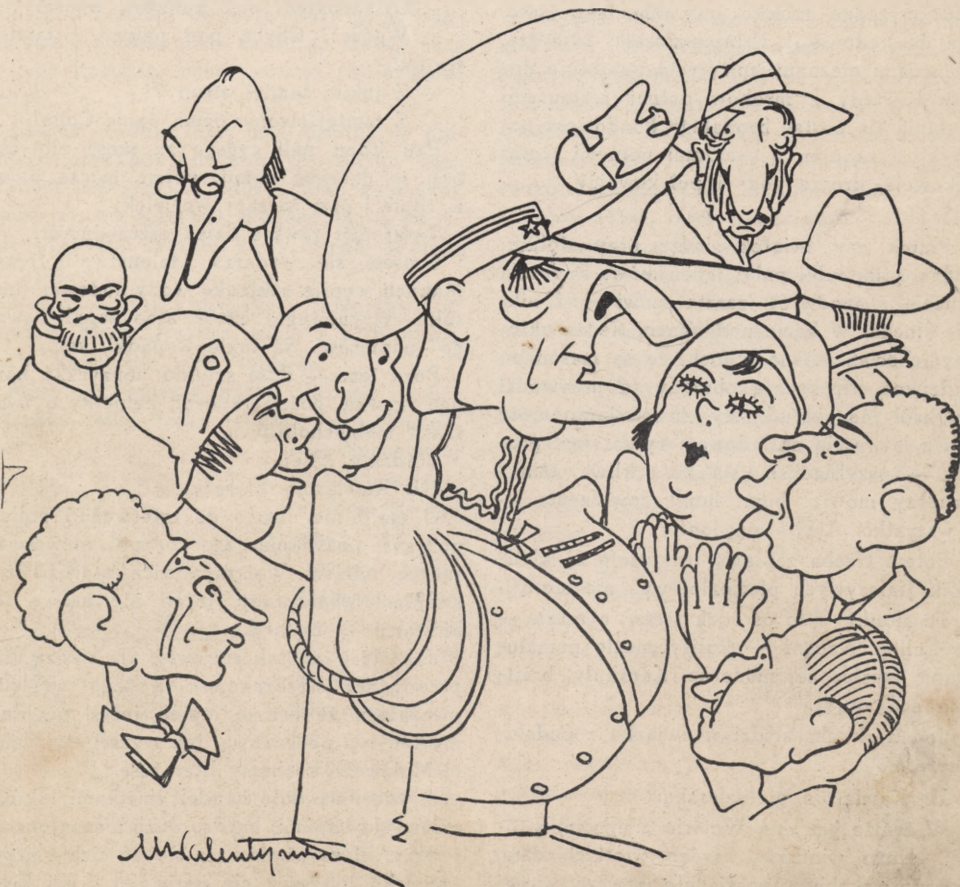
Ani jednego wolnego miejsca!

Szepczesz coś na ucho dyrektorowi; chwila oczekiwania, pełnego niepewności — i oto zasiadasz przy stoliku.

Kelner wyskakuje, jak zabawka z magicznego pudełka, z pogardą przyjmuje twój obstalunek i znika w tłumie poszukujących miejsca.

Nie trać czasu! Poświęć się cały obserwacjom! Kelner nie wróci tak prędko.

Na skrzyżowaniu przejść (złośliwi nazywają je Marszałkowską i Królewską) stoi





Przy jednym stoliku skupiło się towarzystwo o grubych karkach i grubszych jeszcze portfelach — —

zaczarowany stolik, zaczarowany — bo choćby nikt przy nim nie siedział, napis głosi stale: zajęty!

Przechodniu, spuść oczy! To stolik bebe, chociaż żadne dziecko przy nim, jako żywo, nie biesiadowało! Wtajemniczeni twierdzą, że nocami nieznany spirytysta wywołuje duchy i wtedy z mroków dolnej restauracji wylania się postać brodatego kondotjera polityki, a za nim, z twarzami pełnymi troski jakowejś, kroczą pod- i puł-kownicy.

Sza!

Piątek czy świątek siedzą przy stoliku; jedzą, piją, lulki palą; jeden mówi — reszta słucha, i naodwrot: reszta mówi — i nikt nie słucha. W kącie pod oknem siedzą aktorzy; chociaż mówią o nich, że są masonami i dziwne odprawiają obrzędy (a przywodzi im król Magnus), każdy chrześcijanin może ich z łatwością naśladować: rytuał jest prosty — przykładasz usta do szkliwa, trink-brudrzy mówią: bum! bum! dowidzenia — i wszystko. Ale — pardon!

Potem trzeba zapłacić trzy złote za kieliszek (fałszywych pięciozłotówek nie biorą!).

Te stoliki — to ośrodek sceny, a reszta — to kulisy. Naogół — kulisy nieźle pomalowane, wyłożone, moderne. Karakuły, breit-swance, nurki.

Jeden skunks siedzi w związku z podsłuchem.

II. Kawiarnia giełdziarska.

W tymże gmachu. Wejście z drugiej strony. Dużo wiotkich, bardzo wiotkich dam. Szczupłe kobiety potrzebują zawsze więcej pieniędzy, dziwne to, ale cóż — ha, trudno, ha...

Gentlemen! — starsi panowie, otyli w czambu!; lubią chłodzące napoje i gorące dysputy.

Przy stolikach rozmowy à la Mah-Jong:

— Ja go mówię: Firley diabła wart!

— Dziś poszedł pięć punktów wgórę!

— Wgórę? Chyba pan patrzy z tamtej strony!

— Z jakiej tamtej strony?!

— Z tamtej strony ziemi, panie Cohn!

Pan Cohn pali cygaro za sześć złotych; pali je dziesięć minut, potem macza palec w ślinie i gasi żarzący węgielek.

Tutaj jest zawsze dzień oszczędności!

Czasem się wydarzy szaleństwo: Izrael Makuch wypije szklanek wody sodowej (bez soku cytrynowego) extra, albo zapali „swego” papierosa. Są takie wypadki, są...

Poza tem — dość smutno: muzyczka bardzo rzewna, goście radośni, kelnerzy o twarzach melancholijnych.

Pójdźmy dalej.

III. Kawiarnia literacka (!)

O mało nie doszło do interwencji policji podczas omawiania tego rodzaju rozweselających miejsc; Walentyńowicz zagroził zerwaniem współpracy, jeżeli nie nazwę tej kawiarni — malarską.

Jak się zwał, tak się zwał, ale siedzą i przeważnie starozakonni; z tego względu uważałem, że będzie lepiej, jeżeli uogmy ten typ pod nazwą, jak wyżej: my, ci Mojżesza, kochamy literaturę.

A więc: na dole handel ciastkami i skiemmi dowcipami; bardzo dużo nieznao twarzy, które uśmiechają się do ciebie jacielsko; wszyscy cię znają, co drugi ręką: sama szlachta jerozolimska.

Czasem, kiedy jest cisza na sali, przechodzi między stolikami cień mężczyzny, co nie mógł znieść pomajowego upału i rozpuścił się w Łaziń Rzymskiej; szuka znajomych — napróżno.

Kiedyś, w straszliwej depresji duchowej, krzyknąłem na głos: Chrześcijanie, ratunku! Podbiegło dwóch kelnerów, pełnych smutku.

Ale — dość rzewnych motywów!

Na półpięterku przytulili się b. genjusze. Piją kawę, a może ambroję. Jest im zacisznie i mają kredyt; żyć nie umierać, i wachać wonne paki róż, spijać wino z kruz — i Stop —

Na górze — cały „Nasz Przegląd”; gdzieś, zdaleka i rzadka widnieje twarz goja; traktują go z pobłażaniem, nawet go nie wyrzucają z tego anstaltu, choć fatalnie psuje landshaft.

Czasem siaduje tutaj mąż zbrojny, w pieśniach opiewany; owiewa go samum westchnień dziewiczych, włos gładko zaczesany unosi się od spojrzeń pragnących, a on — syt chwały i czarnej kawy, czyta „Polskę Zbrojną”.

A propos — syt chwały: w tejże kawiarni bywa p. Walentynowicz, rabin z El-Kantary.

IV. Kawiarnia ludzi interesu.

Musi być zawsze blisko dworca: dobre warunki robią dobre interesy, a możliwości

natychmiastowej ucieczki z grubą forszą też coś znaczą, nie?

Duża sala, ciężkawa jak sumienia stałych gości; można tu sprzedać las na Giewoncie i kupić wzamian brylanty z carskiej korony; emigrantów rosyjskich — huk, a każdy ma coś do handlu: jeden berło Ru-



Panowie, którzy poszukują pożyczki

ryka, ten czapkę Monomacha, a brylanty mają wszyscy.

Jeżeli chcesz zrobić prezent swojej niewinnej i uroczej narzeczonej — idź tam; żaden jubiler, ba — nawet brylantowa giełda w Antwerpii nie daje takiego wyboru, jak ta szlachetna instytucja: targuj się, a za dwieście złotych kupisz diadem cesarzowej wdowy, Marji Teodorówny.

Ale to są małeńkie geszefciki: przy jednym stoliku skupiło się towarzystwo o grubych karkach i jeszcze grubszych portfelach; setki tysięcy fruują, jak w tabeli wygranych loterii państwowej; nikt ich nie widzi, ale pod hajrem — są!

Dawniej, za brylantowych markowych czasów było tutaj takie ożywienie, że zaniepokojony przechodzień mógł zaryzykować przypuszczenie, iż znalazł się na weselu w Kanie Galilejskiej. Teraz cisza — ale nie smętna, posępna cisza, tylko pełne dystygowanego spokoju oczekiwanie, aż złoty kark skręci i wróci dobre, inflacyjne czasy.

V. Kawiarnia bez nazwy.

To znaczy, że ja proponowałem nazwę, ale drugi członek komisji odrzucał kolejno wszystkie, jako nieprzyzwoite.

No, w zasadzie trudno nazywać miłem imieniem Charmaine miłą skądinąd Agatę; zostanmy więc bez nomenklatury, chociaż szlachetny język polski ma kilka określeń, któreby się znakomicie tutaj nadawały.

Precz myśli zdrożne!

Zdaje mi się, że ta właśnie kawiarnia robi najlepsze interesy: regularnie raz do roku otwierają nowe sale, regularnie raz do roku podwyższają ceny.

Niedawno w tym przybytku odbyło się poświęcenie no-



Amator delikatesów



Pani, która szuka tego co już pożyczyl

wych apartamentów; byłem i ja. Jadowity sarkazm, którym mnie systematycznie poi mój współnik w tym opisie, ginie bez śladu.

Zdawało mi się przez sympatyczną godzinę, że jestem w Alhambrze, przeniesionej żywcem do Warszawy: rozkoszny półcień, bajecznie kolorowe freski, i gdzieś, na górze kraty haremu. Piłem różne egzotyczne napoje i dusza moja, rozmiłowana we Wschodzie, nurzała się w oryentalnej rozkoszy, tem bardziej, że był ze mną wędrowiec z El-Kantary.

Wyobrażam sobie, jak będzie wyglądała ta naprawdę śliczna część kawiarni za parę miesięcy; nie wątpię, że upodobają sobie ten zakątek właśnie „ludzie stamtąd” — przybysze ze Wschodu. Żegnaj, Alhambro!

Jestem tkliwie nastrojony, i z prawdziwym trudem piszę o tem, że pozostałe sale tej kawiarni wypełniają panowie, których najpoważniejszym zajęciem jest poszukiwanie pożyczki, oraz panie, które poszukują tych właśnie panów. Zresztą, towarzystwo jest wybitnie mieszane, bywają nawet mulaci, metysi, oraz inni mieszańce.

Atrakcja — dobra orkiestra gra często, tak często, żeby zagłuszyć rozmowy, których przeciętny śmiertelnik nie może wysłuchać bez rumieńca.

Zdarza się coprawda, czasem, że jakaś cnotliwa babcia zabłąka się tutaj — ale — która kobieta nie błądzi?

VI. Kawiarnia „sportowa”.

Zastrzegam się zgóry, że do takich lokalności człowiek przyzwoity nie chadza. Nazywa się „sportowa”, bo możesz tam śmiało grać, obywatelu, na derbach w Epsom, w Paryżu, w Monte-Carlo. Płacą solidnie, bo publiczność jest nielitościwa dla „zarywaczy”.

Można tam wszystko kupić: od stuwłokowego majątku do fałszywych dolarów, od kamienicy do ruchomej własności w Argentynie.

Często bywa tu policja, i traktują ją życzliwie; kilku gości opuszcza na dłuższy lub krótszy okres gościnne podwoje w towarzystwie granatowego opiekuna; nie robi to wrażenia.

Tam, a nie gdzie indziej jest centrala handlu mieszkaniami; tam właśnie kwitnie sprzedaż małych ampułek, których gorliwie szuka policja.

Nie zachodź tam, czytelniku! Obejdzie się ten zakład bez ciebie, bo tylu stałych bywalców nie ma żadna kawiarnia.

A więc, łatwo zrozumieć, dlaczego tego opisu uniknął Orgelbrand; zresztą byłby nieaktualny, bo dawniej ludzie pijali w kawiarniach kawę, a dziś załatwiają te wszystkie czynności, które dawniej kryły zaciszne ściany prywatnych mieszkań.

Tempora mutantur...

Wyznaczanie długości geograficznej

(Czas miejscowy i normalny)

Długością geograficzną, jak wiadomo z nauki geografii, nazywa się odległość kątową południka danej miejscowości od innego południka, obranego za początek rachuby, czyli t. zw. pierwszego południka. Długość liczy się od pierwszego południka w obie strony od 0° do 180° na wschód — na wschód długość wschodnia, na zachód — zachodnia. Prawie do końca zeszłego stulecia różne narody uważały rozmaite południki za pierwsze. Dopiero na międzynarodowym zjeździe geograficznym w Waszyngtonie 1884 r. uchwalono uważać za pierwszy południk, przechodzący przez obserwatorium Greenwich pod Londynem.

Żeby wyznaczyć różnicę długości geograficznych dwóch miejscowości, nie leżących na jednym południku, należy wyznaczyć różnicę czasów miejscowych tych miejscowości, ponieważ czas gwiazdowy dwóch miejscowości, nie leżących na tym samym południku, różni się o tyle, co ich długość geograficzna. Wynika to stąd, że kąt między południkami dwóch danych miejscowości, stanowiący różnicę ich długości geograficznych, równa się kątowi między odpowiednimi południkami niebieskimi, a ten ostatni kąt stanowi różnicę czasów miejscowych tych miejscowości. Do wyznaczenia różnicy czasów miejscowych służą rozmaite sposoby. Zacytujemy niektóre z pich.

1. Przewożenie chronometrów. Chronometr,

dokładnie uregulowany według czasu jednej miejscowości i dobrze zabezpieczony od wstrząśnień i wpływów atmosferycznych, przewozi się do innej miejscowości, poczem porównywa się czas obu tych miejscowości. Zamiast przewożenia chronometrów można używać w tym celu sygnałów rakietowych, o ile miejscowości są niezbyt oddalone;

2. Sygnały telegraficzne. Jeżeli miejsca, których długość geograficzną wyznaczamy, są połączone telegrafem, to lepiej będzie z jednego miejsca do drugiego wysyłać sygnały telegraficzne i w tej samej chwili notować czas w każdym miejscu;

3. Zjawiska astronomiczne. Do najodpowiedniejszych zjawisk, które służą niejako za sygnały na sklepieniu nieba w celu wyznaczania różnic czasu, są przejścia księżyca przez południk, albo jeszcze lepiej pokrycie pewnych gwiazd przez księżyc i na koniec zaćmienia oraz przejścia przez tarczę planety Jowisza jego księżyców. Spostrzegacz, mający pod ręką roczniki astronomiczne, odczytuje chwilę zaćmienia 1-go księżyca Jowisza (Io) według czasu Greenwich i następnie notuje chwile tego samego zjawiska podług czasu tego południka, na którym się znajduje. Z uzyskanych liczb łatwo otrzymuje się różnicę czasu, a stąd i różnicę długości, przyjmując, że 1 godz. = 15, 1 min. = 15', 1 sek. = 15".

Za początek doby gwiazdowej w danem



miejscu uważana jest chwila, gdy przez południk tego miejsca przechodzi jeden z węzłów drogi ziemskiej, mianowicie punkt równonocy wiosennej. Ale punkt ten nie może jednocześnie znajdować się na wszystkich południkach. Z tego więc wynika, że doba nie może zaczynać się jednocześnie w różnych miejscach ziemi. Gdy więc na jednym południku zegar wskazuje np. północ, to na południku odległym od poprzedniego o 15° na zachód brak jeszcze jednej godziny do końca doby. Posuwając się ciągle w kierunku zachodnim, straciłoby się w taki sposób na różnicy czasów wszystkich kolejnych południków całą dobę. I odwrotnie, posuwając się w kierunku wschodnim, zyskałoby się jedną dobę. Zjawisko to było już zauważone w czasie pierwszej podróży dokoła ziemi: towarzysze Magellana po powrocie do Europy liczyli 6 września 1522 r., gdy na lądzie Europy liczono już 7 września. Podobny wypadek miał miejsce na Alasce, gdy półwysp ten, początkowo skolonizowany przez Rosjan, został odkupiony przez Amerykanów: Rosjanie liczyli niedzielę, gdy dla Amerykanów dzień ten był sobotą. Ażebym przyszłość uniknąć tego rodzaju nieporozumień, uchwalono wprowadzić t. zw. granicę dat, czyli południk kalendarzowy. Jest to linja, zbliżona do południka, oddalonego

o 180° od Greenwich. Linja ta przechodzi przez cieśninę Behringa i Ocean Wielki, nie napotykając prawie nigdzie lądów, z wyjątkiem drobnych wysepek Polinezji. Przekraczając tę linję w kierunku zachodnim, należy przeskoczyć jeden dzień (np. po niedzieli liczyć wtorek); odwrotnie, jadąc w kierunku wschodnim, należy liczyć dwa razy ten sam dzień.

Dla uniknięcia nieporozumień, wynikających z różnicy czasów kolejnych południków, wprowadzono w kulturalnych krajach kuli ziemskiej t. zw. czas normalny. Jest to czas liczony podług południków, oddalonych o 15° lub 30° od Greenwich, a więc różniący się o jedną lub 2 godziny od czasu Greenwich. W Europie są trzy strefy czasu normalnego: czas zachodnio-europejski, środkowo-europejski i wschodnio-europejski. W Ameryce północnej są aż 4 strefy czasu normalnego, różniące się kolejno o jedną godzinę. Udogodnienie polega na tem, że podróżnik, przebywając strefę, zaznaczoną na mapie, przesuwając zegarek w kierunku właściwym o całą godzinę i jest natychmiast w zupełnej zgodzie z zegarami całej strefy. Na znacznej wszelako części kuli ziemskiej tego udogodnienia nie zaprowadzono, i czas reguluje się według miejscowych południków.

Aleksander Kochański

GASTRONOMIA

restauracja • kawiarnia • bar •



Warszawa • Nowy Świat 16

MÓJ WIERNY PIES...

WIELKI KONKURS,

W KTÓRYM CZYTELNICY „NAOKOŁO ŚWIATA”
SAMI ZADECYDUJĄ O PRYZNANIU NAGRÓD.

Od niepamiętnych czasów pies jest przyjacielem i towarzyszem człowieka. Jest towarzyszem wiernym i przyjacielem przywiązany. Psie przywiązanie do „ludzkiego” pana bywa doprawdy wzruszające — powiedzmy — bezinteresowne. Bo czyż mało jest na to dowodów, że pies w imię przywiązania jedynie gotów jest zawsze dzielić najtwardszy nawet los swego „pana” lub „pani”. Psia wierność stała się przysłowiową. Ludzie, którzy znają psy i lubią je, mają w pamięci niejeden przykład ich wzruszającej wierności i przywiązania. Ileż takich przykładów dała wojna? Ile mamy ich w codziennym życiu?

Redakcja „Naokoło Świata”, pragnąc wydobyć z mroków zapomnienia te ciche zasługi wiernych przyjaciół człowieka, ogłasza niniejszy psi konkurs na najwierniejszego i najsympatyczniejszego psa.

Nie chodzi nam wcale o najpiękniejszy okaz psiego rodu. Zdobywcą naszej nagrody może być najzwyczajniejszy kundel.

WARUNKI KONKURSU:

1) Właściciele kandydatów do nagrody nadeślą do Redakcji „Naokoło Świata” (Warszawa, Zgoda 12) podobizny swych psów. (Zależy nam na zdjęciach artystycznych — psich portretach).

2) Do fotografii należy dołączyć treściwą ale dokładną notatkę podającą: wiek, rasę psa i jego zalety i zasługi względem właściciela lub ludzi wogóle. Podpis i adres właściciela.

3) Wszystkie nadesłane na konkurs podobizny psów będą reprodukowane wraz z opisem w zeszytach „Naokoło Świata” i na podstawie tych reprodukcji czytelnicy sami dokonają wyboru kandydatów. Fotografie ukazywać się będą w kolejnych numerach miesięcznika w miarę nadsyłania ich do redakcji.

4) Ostateczny termin nadsyłania fotografii upływa dnia 1-go czerwca r. b.

5) Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w lipcu r. b.

6) Jako nagrody przeznacza redakcja 3 artystycznie wykonane żetony pamiątkowe (I-sza, II i III).

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ROZWIĄZANIA

ZADAŃ V TURNIEJU ZADANIOWEGO

„Naokoło Świata” nr. 60:

6. GWIAZDA MAGICZNA.

Łatwe pozornie zadanie zostało, oczywiście, jeżeli chodzi o zasadniczą treść, rozwiązane dobrze; natomiast znaczna liczba osób potknęła się na słowach pomocniczych, które należało bezwzględnie podać (jak zresztą zwykle wszędzie i zawsze), pod „groźbą” nieuznania rozwiązania. W tym wypadku postąpiliśmy w ten sposób, że za brak, czy też błędną interpretację, czterech słów — rozwiązania nie zaliczaliśmy; za trzy błędy odliczaliśmy 3 punkty, za dwa — 2 i za jeden — 1. Surowość tą należało zastosować ze względu na liczną grupę Turniejowców, zdającychcych do mety; w rezultacie — prawie połowa przy „Gwieździe magicznej” nieco odstąpiła.

Najwięcej potknąć zanotowaliśmy przy wyrazie 36, który brzmi — *Thacz* (= rodzina ptaków śpiewających); tymczasem czego tu pomyśleli Turniejowcy nie wykonywali: *tracz* (kaczka śpiewająca?), *krask* (chyba oskubana, bo musiałyby się mienić — *kraska*), *krasa* (Jaśnie Wielmożna!), *glapa* (?), *agami* (jeszcze nie nauczył się śpiewać!), *Djana* (metamorfoza bogini łowów) i t. d., nie mówiąc o wielu innych wyrazach nie pięcio-literowych, albo bez litery „a” w środku, co wymagały inne warunki zadania.

Z trudniejszych wyrazów notujemy: *Tytan* (Artel? Artus? Atleta?), *klika* (zbiry? plika?), *kobra* (elaps?), *Greta* (Wiera?), *lis* (rys?), *uta* (oda?) i wiele innych; natomiast za równoznaczne i zgodne z warunkami zadania uważaliśmy następujące wyrazy: *Lot-Noe-Yob*, *lotus-lotos*, *pasta-kasza*, *bal-tan* i *Asnyk-Lange*.

Niżej podajemy rozwiązanie „Gwiazdy magicznej”, wykonane przez p. *Jana Massajadę* z *Brzezin*, a na końcu niniejszego działu rozwiązanie tegoż zadania, wykonane przez „*Her-man'a*” z *Wilna*.

7. ZAGADKA.

a) *Rad*

b) *Dar*.

Jedno z zadań Turnieju, które zostało rozwiązane gremjalnie i bez błędów. Pewien czytelnik z prowincji przy okazji donosi, że „byłby ogromnie *rad*, gdyby nań spadł wspólny *dar* w postaci cennej nagrody za rozwiązanie „Zagadki”. *Ba...*

8. PERMUTACYJKA.

Zadanie nowego typu, dość łatwe, jeżeli chodziło o całość, trochę zdradliwe, o ile chodziło o kilka poszczególnych, spowinowacanych słów; przede wszystkim *kacyk* i *kamyk* albo pomijano zupełnie, albo zasypywano takimi dziwolągami jak *kacień* (?), pochodną od *kamień*. Pewien doświadczony i znany na bruku stołecznym szaradzysta zastąpił parę *kort* - *kora* dwójką *mora* - *kora*.

W samej treści „Permutacyj-





Rozwiązanie wykonane przez p. Józefa Menzla z Łodzi.

ki" był mały błąd — w 11-ej parze wyrazy a) i b) należało przestawić; błąd ten aby w jednym wypadku nie wpłynął na rozwiązanie „Permutacyjki”.

Pan Marceli L. z Katowic zapytuje na marginesie tego zadania, w którym nie potrafił odgadnąć trzech słów, jak ma „rozwiązywać” nieznanne słowa, jeżeli nie posiada słowników. Trzeba sobie jakoś poradzić, bo qui non habet kobylkam, piechotare debet; radzimy jednak zaopatrzyć się przynajmniej w „Słownik Języka Polskiego” M. Arcta.

9. ŁAMIGŁÓWKA CYFROWA

$$123 - 45 - 67 + 89 = 100.$$

Wyżej napisane równanie jest poniekąd klasyczne i, jako wypisane naturalnym ciągiem, jedynie w swym rodzaju; użyto tu tylko trzy znaki, zgodnie z warunkami zadania. O podobnych curiosach liczbowych szczegółowo i ciekawie opowiada inż. Szczepan Jeleński w swej książce rozrywek matematycznych „Śladami Pitagorasa”.

P. Wiktor Per z Wilna snuje na tle niniejszej „Łamigłówni cyfrowej” następujące refleksje:

Zadanie to, wbrew opinii inż. Jeleńskiego, ma dwa rozwiązania, a mianowicie:

$$1) 123 - 45 - 67 + 89 = 100$$

$$2) 167 - 98 + 54 - 23 = 100$$

oraz ma jeszcze bardziej klasyczne rozwiązanie, w którym użyto tylko dwa znaki:

$$3) 321 + 548 - 769 = 100$$

co powinno byłoby być uwzględnione w drugim wydaniu „Śladami Pitagorasa”.

Co do pierwszej części tego „oskarżenia”, to należy zwrócić uwagę na to, że inż. Jeleński

ski podkreśla wyraźnie, że rozwiązanie „1)” jest wypisane naturalnym ciągiem i jako takie jest faktycznie *jedynę*! Co do rozwiązania „2)” — otrzymaliśmy od prof. Władysława Kawy z Miela pięćdziesiąt pięć wariantów rozwiązania, zupełnie zgodnych z warunkami zadania (dowolne kombinacje liczb z trzema znakami), które ze względów zrozumiałych trudno przedstawiać na tem miejscu. Co do drugiej części refleksyj, przyznajemy słusność z tem zastrzeżeniem, że rozwiązanie „3)” również nie jest... unikatem, bo np. p. Jadwiga Kwiekowa z Dobrzelina podaje jeszcze takie:

$$4) 213 + 584 - 697 = 100$$

$$5) 371 + 624 - 895 = 100$$

Sądźmy zresztą, że sprawa ta na tych wariantach nie wyczerpuje się.

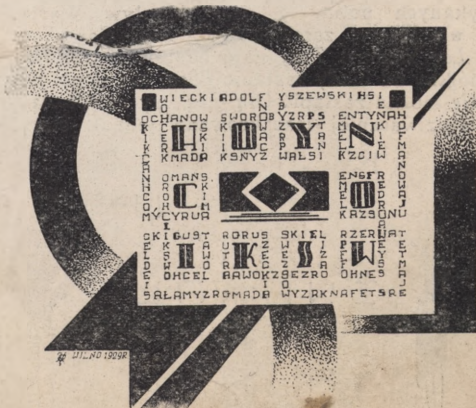
Wszystkie warianty (z trzema znakami) zapisywaliśmy na koncie rozwiązujących, natomiast dyskwalifikowaliśmy te rozwiązania, które zawierały więcej niż trzy znaki i mniej niż dziewięć cyfr (od 1 do 9), co odbiegało od warunków „Łamigłówni cyfrowej” dość wyraźnie, aby ukarać kilku nieuwważnych Turniejowców.

10. WĘŻOWNICA LITERACKA

1. Maurycy Mochnacki. 2. Kochanowski. 3. Adam Krechowiecki. 4. Adolf Nowaczyński. 5. Przyborski (wspak). 6. Stanisław Przybyszewski. 7. H. Sienkiewicz. 8. Klementyna Hoffmanowa. 9. Junosza Klemens. 10. Fredro A. 11. Weyssenhoff. 12. Przerwa-Tetmajer. 13. Stefan Krzywoszewski. 14. Eliza Orzeszkowa. 15. Artur Gruszecki. 16. Adam Grzymała-Siedlecki. 17. Gustaw Olechowski. 18. L. Choromański.

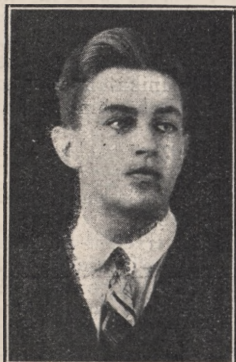
Z liter krzyżujących się — Choynowski.

Najczęściej potykano się na autorze „Historij powstania” — Maurycym Mochnackim, którego zastępowano raz Bolesławem Limanowskim, raz Lucjanem Siemskim, tożnówu Ciekanskim, ale najczęściej Piotrem Chmielowskim. Z trudniejszych notujemy 15,



Rozwiązanie wykonane przez „Her-ma'a z Wilna.

LAUREACI NASZEJ DZIELY



36. P. Jerzy Hermanowicz
(„Herman”) z Wilna



37. P. Stanisław Kamiński z Sulejówka



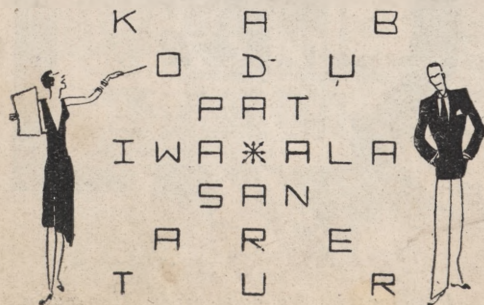
38. P. Klara Michalska
z Morzysławia

17 i 18, a zwłaszcza 13 — *Stefan Krzyżowski*, którego zastąpiono w tem polskiem towarzystwie kilka razy *Johnem Galsworthym*. Aj-aj-aj! w czasie, gdy kwitnie hasło samowystarczalności! *Klemensa Junoszę* zastąpiono w paru wypadkach *Stefanem Żeromskim*. Poza tem zwracamy uwagę na to, że *Olechowski* nie jest *Gwidonem*, a *Artur Gruszecki* nigdy nie był *Edmundem Chojeckim*. Co do *Adama Grzymały-Siedleckiego*, to, pomimo niektórych wspólnych cech... *Rodzie-wiczówną* nie jest, co podajemy ku uwadze p. A. W. z Warszawy.

„Naokoło Świata” nr. 62:

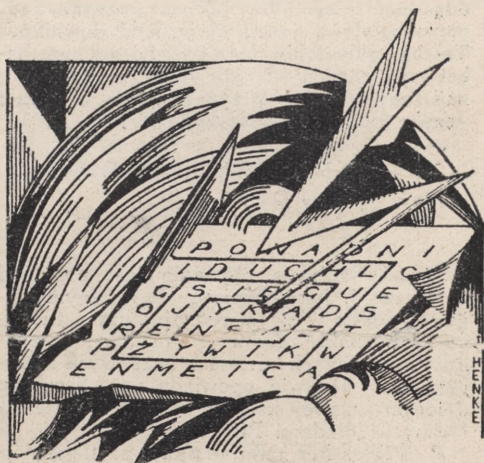
11. KRZYŻOWNICA

Niżej podajemy rozwiązanie „Krzyżownicy” p. Józefa Menzla. Z błędów częściej spotykanych notujemy: *Ner* (dopływ *Warty*, a nie *Wisły*) zamiast *an* i *Jak, Sar, Emu* i *Lar* zamiast *Tur*; natomiast *„(niektórzy) mógłby od biedy zastąpić Tura, tak samo, jak Alę można zastąpić Olą, Elą, czy nawet Azą. Najdziwniej masakrowano jednak stary,*



pocziwy, powozik angielski — *Kab* — po angielsku *Cab*, ale w „Krzyżownicy” nie do zastosowania, ze względu na pionowy wyraz; z tych samych względów nie do przyjęcia wyraz *Gig*.

12. UKŁADANKA



Rozwiązanie wykonane przez prof. Józefa Henke z Poznania.

Dokładne rozwiązanie brzmi: *Ponad nle-szta ciemne progi duch ludzki wyżej sięga. Asnyk.*

Z całej kolekcji rozwiązań „Układanki” wyłowiliśmy tylko jedno z nieznacznym „uszkodzeniem” — zamiast *ciemne progi* — *ciemne drogi*; błąd ten zapisujemy na karb niewinnej nieuwagi.

13. ???

1. Nowy typ zadania.
2. Jak je nazwiecie?...

Tajemnicze zadanie p. M. Pfeiffera skłoniło prawie wszystkich Turniejowców do wzięcia udziału w osobliwego rodzaju chrzcie. Zapytanie w rozwiązaniu zupełnie słusznie zostało przyjęte jako swego rodzaju ankietą, i oto mamy przed sobą cały plik mniej lub więcej uzasadnionych projektów o najrozmaitszej skali barw. Jeśli mamy się skłaniać ku niemodnej dziś sentencji *vox populi vox Dei*, to pierwszeństwo należałoby przyznać nazwie *Układanka literowa* (27 głosów); kolejno dalej pójdą: *Literówka* (19 gł.), *Pfeifferówka* (13 gł.), *Domyślanka* (8 gł.), *Literocyfrowka* (4 gł.) i *Kryptogram* (4 gł.). Reszta — przeszło 40 projektów — to *vox clamantis in deserto*, co nie przeszkadza, że skłaniamy swoje sympatje właśnie do jednego z wyłowionych z tej powodzi głosów, a mianowicie do projektu względnie najso czystsze go (p. Andrzeja Filka z Krakowa) — *Gotyko-literówka*.

Spotkaliśmy parę rozwiązań bardzo dziwnych, jak np. *Nowy etap zadania! Jaki? Nazwijcie!*, albo *Jaki len zwleczę?* Dotąd nie

wiemy — jaki?... Chyba Archimedes z martwych wstanie, pomyśli, krzyknie *Eureka!* i odkryje „ciężar gatunkowy” tych rozwiązań. Ano — czekajmy!...

14. AKTUALNA SZARADA.

Se-zon-o-gór-ko-wy. Sezon ogórkowy.

Bez komentarzy i bez błędów!...

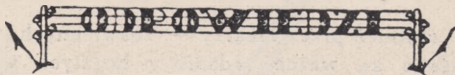
15. REBUS.

N-je-war-to(k)-(k)sięga-ć-za-w-ysok-o-jeże-lis-i-eń-je-mask(a)-r-żyd-el.

Nie warto sięgać za wysoko, jeżeli się nie ma skrzydeł.

O punkt mniej liczyliśmy za następujące błędy: „Nie warto latać za wysoko”, „Nie warto słowa wznosić za wysoko w lot”, „jeżeli raz jeden niema skrzydeł” i t. p. Musieli to być Turniejowcy, których wyobraźnię *wysoko* ponosiły, to też poprzestaliśmy na tych drobnych karach doraźnych.

Dokończenie rozwiązań zadań V Turnieju podamy w jednym z najbliższych zeszytów „Naokoło Świata”.

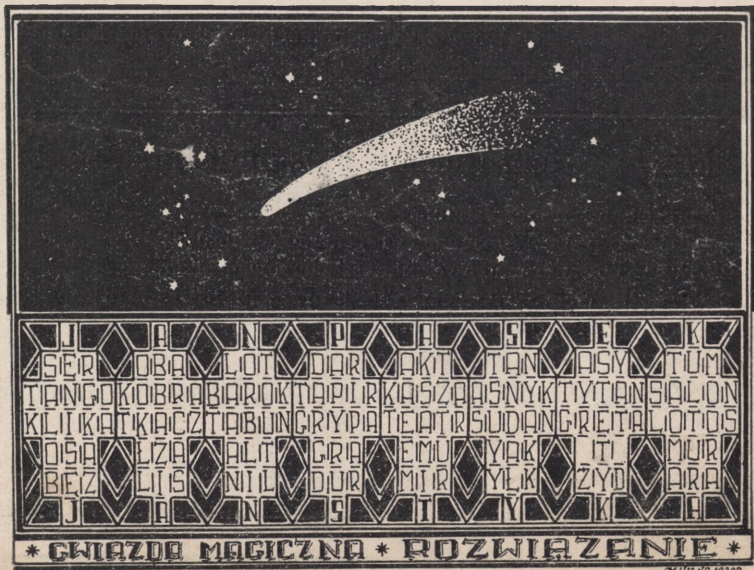


(248). Łopatto J. — Modlin. „Figuelek rebusowy” pójdzie w ramach VI Turnieju z ostatnią serją zadań. „Wiro-krzyżówka” istotnie wywołała niemały popłoch w światku szaradowym. Powodzenia na przymusowej „wilegaturze”!

(249). „Ergos” — Warszawa. Kwestja, oczywiście, przedawniona, przy pierwszej jednak okazji pozwolimy sobie zwrócić się do Pana ponownie

(250). Zylbersztejnówna E. — Warszawa. W P. S. do rozwiązań zwraca się Pani do nas z zapytaniem (dosłownie): „*Jakie artykuły można posłać dla N. S.? Mam ładną nowelkę z własnej myśli, czy mogę ją posłać?*” Nie, dziękujemy. Redakcja posiada bardzo wiele dobrych artykułów i beletrystyki.

J. K.





90% dorosłych cierpi na wypadanie włosów.

Powiększenie się gruczołów tłuszczowych i łupież powodują ściśnienie korzonków włosowych, które z biegiem czasu zupełnie obumierają.

Silvikrin - kuracja - włosów (D. R. P. i opatentowana prawie we wszystkich państwach kulturalnych) usuwa łupież i wytwarza nowe uwłosienie nawet w wypadkach łysiny.

Po osiągnięciu — również przez lekarzy — zbawiennych wyników **Silvikrin-kuracja - włosów** uważano za ważne zadanie z bogatych w siarkę składników **Silvikrinu** wytwarzać też środki do pielęgnacji włosów. Wodą na włosy do codziennego użytku jest „**Silvikrin Fluid**”, a proszkiem do mycia głowy 3—4 razy w miesiącu jest „**Silvikrin - Shampoo**”. Wielkie znaczenie ma bowiem to, że środki te wzmacniają energię porostu włosów i zapobiegają tworzeniu się łupieżu i tem samemu wypadaniu włosów.

Dla każdego człowieka, dbającego o swój dobry wygląd, bardzo ważne są wskazówki podane w książeczce p. t. „Wypadanie i regeneracja włosów” z słowem wstępem profesora Dr. med. Liplawskiego.

Bezpłatnie i franko otrzyma WP. wymienioną broszurę oraz próbkę „**Silvikrin - Shampoo**”. Prosimy tylko wyciąć poniżej umieszczony kupon i przesłać w kopercie zaopatrzonej w znaczek pocztowy do

Silvikrin-Vertrieb, Gdańsk 620, Böttchergasse 23/27

Proszę o przesłanie mi bezpłatnie:

1. Książkę p. t. „Wypadanie i regeneracja włosów”
2. Wypracowanie naukowe pierwszych powag lekarskich
3. Plan leczenia Silvikrinem zredag. przez prof. Dr. med. Liplawskiego
4. Próbkę Silvikrin-Shampoo

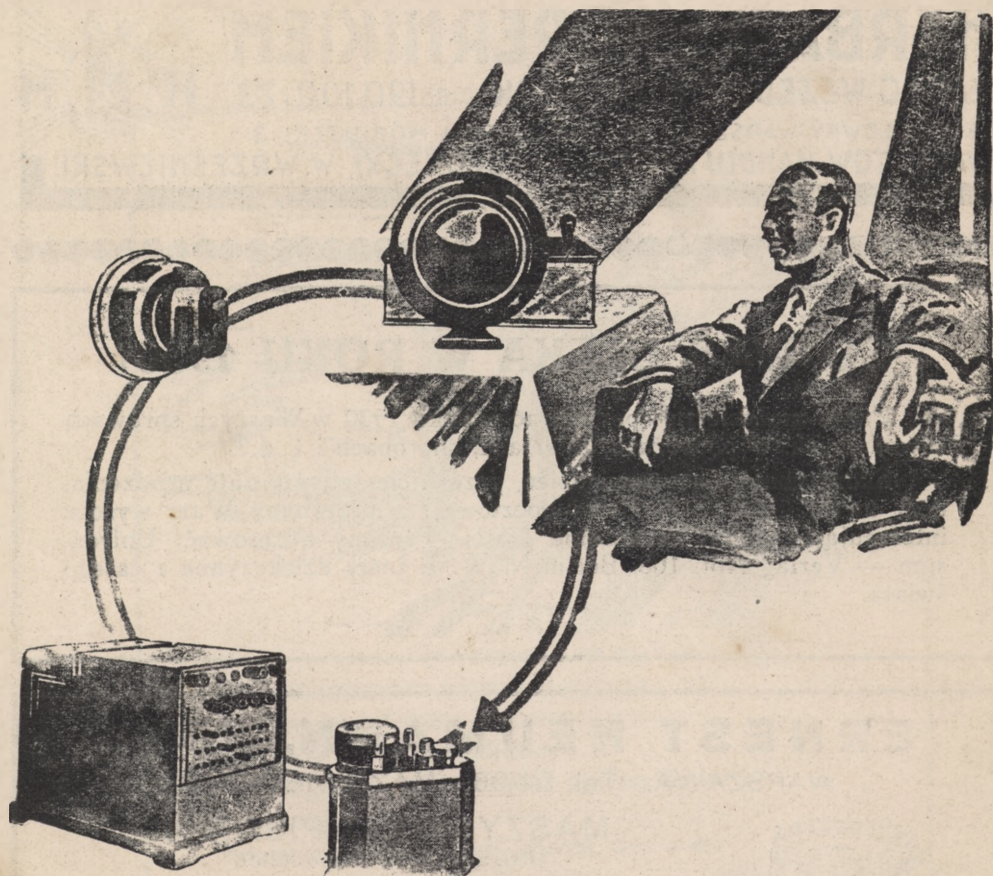
Imię i nazw.

Ul. i L. domu

Poczta

Miejscowość

GRAMOFONY PATHÉ



RADJO - PHILIPSA RADJO - GRAMOFONY

DLA KIN, RESTAURACJI, KLUBÓW i t. p.

SKŁAD GŁÓWNY

ADAM KLIMKIEWICZ
WARSZAWA

Marszałkowska 154 (róg Królewskiej)

CENNIKI, KOSZTORYSY, DEMONSTRACJE — BEZPŁATNIE.

UZNANA W CAŁEJ POLSCE ZA NAJLEPSZĄ HERBATĄ z „KOPERNIKIEM”

ŻĄDAĆ WSZĘDZIE MIESZANEK №№: 190, 100 i 23

SKŁAD GŁÓWNY WARSZAWA BRACKA 23, FILJA MONIUSZKI 3

WARSZ. TOW. HANDLU HERBATĄ A. DŁUGOKECKI, W. WRZESNIEWSKI

SP. AKC.



CO WAS CZEKA W ROKU 1930?

Czego możecie się spodziewać w roku 1930 w Waszych sprawach zawodowych, w podróżach, loterjach, chorobach i t. d.?

Skoro chcecie się dowiedzieć, prześlijcie jedynie datę urodzenia, oraz zwrot kosztów (znaczki pocztowe), a prześlemy Wam wysoce interesujące próbne orzeczenie gratis. Prosimy adresować: Universum — Verlag Abt. 108, Berlin N. W. 7. Listy dziękczynne z całego świata.

ERNEST NEUMANN, Sp. z o. o.

WARSZAWA, Tel. 54-96, MAZOWIECKA 6.



MASZYNY DO PISANIA
UNDERWOOD remodelled

DRUKARKI BIUROWE

„MILLOTYP” do normalnych czcionek i klisz.

ARYTMOMETRY, NUMERATORY, DATOWNIKI,
PIÓRA WIECZNE, OŁÓWKI „ZAWSZE OSTRY”.

CENNIK NA ŻĄDANIE

Życie płciowe! Seksualizm!

Likwidacja wydawnictwa „Świt”

Firma istnieć będzie tylko do 31 grudnia r. b — 1930-go. Z dniem 31 grudnia 1930 r. kontakt między wydawnictwem „Świt” a interesantami zostanie przerwany.

Książki za bezcen! Dajemy 20 cennych pożytecznych i ciekawych książek tylko za 10 złotych. 1) Dr. Jozan: „Życie płciowe kobiety” Poradnik lekarski, 2) Dr. Werner: „Lekarz domowy — masaż” Leczenie wszelkich chorób, 3) Dr. Misiewicz: „Samogwałt mężczyzna — kobiety”, 4) Dr. Weininger: „Tajemnice kobiet i mężczyzn”, 5) Dr. Korabiewicz: „Choroby weneryczne”, 6) Bourget: „Zazdrość w miłości”, 7) Dr. Levoissier: „O zdradzie i niewierności małżeńskiej”, 8) Wotowski: „Miłość, a kłamstwo”, 9) Pr. Kutz: „Czy nagość jest grzechem?”, 10) Szyller Szkolnik: „Tajemnica powodzenia” Dodajemy jeszcze 10 innych, ciekawych, pożytecznych książek, razem 20 książek tylko za 10 zł — Wysyłamy za gotówkę, lub za zaliczką pocztową. Niniejsze ogłoszenie i 2 zł. (można znaczkami pocztowymi) na wydatki załączyć do listu.

Warszawa, Redakcja „Świt”. Nowowiejska 32 m. 6. Expedycja

